

W numerze: Świat doktora Schweitzera • Co to jest biometeorologia? • Wiersze
• Dziecko w teatrze • Koniec ucieczki • Felietony • Recenzje • Polonica

odątkosy



Nr 13 (389)
4. IV. 1965
10 stron
Cena - 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



ANDRZEJ MAKOWIECKI

"SEP" Wyjście nocą

Nie jest to raportaż o mieście i jego obywatelach. Jest to tylko próba reportażu o ludziach, którzy strzegą twego snu, którym powierzono spokój twego miasta.

Sobota. Stęzał mrok i miasto zrobiło się senne. Promenada na Piotrkowskiej skończona. W Savoy'u i Halce zapłakały saksofony pod nerwowym skowytom gitar — lecz parkiety jeszcze puste — dwie, trzy pary kręcą się zaledwie — jeszcze czas...

Czas. Ostatnie godziny dnia. Milionowe miasto zrobiło się senne. Miasto pracy.

Teraz. Sim, Malinowa, Tivoli zaczęły bawić gości, na ulicach zamrze ruch, w tramwajach zrobi się luźno, przy zderzeniach wielkich arterii pogasną czerwone sygnaly; wystawy sklepów, kioski na uboczach, banki i spóźnieni przechodnie wejdą pod opiekę „Sępa”.

„Sep” zmienia właśnie „Kondora”: wyjeżdża z bazy na wygaszonych światłach tuż za „Orlem”, „Bizoniem”, „Marianną”.

Wyszedł z bazy na zgaszonych światłach bez symbolu „MO” na drzwicach. Zwykła szara „Warszawa” na „cywilnej” rejestracji lecz ze stacją nadawczo-odbiorczą.

Radiofów „Sep” patroluje Śródmieście. Po krawędziach wielkiego kwadratu, zamkniętego ulicami Narutowicza, Kilińskiego, Tuwima i Piotrkowską — robi pierwszą rundę. Później tnie ten kwadrat we wsze strony — wjeżdża na Traugutta i Moniuszki, sunie Sienkiewicza, zaczepia o pałki, podzielenia i skwery, ciemne wnętrza domów i przejściowe bramy; jest wszędzie i nie ma go nigdzie — nieuchwytny jak cień.

Cień, chybliwy cień chłopaka w mundurze oderwał się od wozu i szedł teraz pustawą ulicą obmacując domy i wystawy; „Sep” krył go z tyłu — jechał bardzo powoli — z szybkością kroku chromego. Po dziesięciu minutach chłopak w krótkiej milicyjnej kurtce, z pistoletem w kaburze luźno nad udem, z laską w dłoni — powrócił do auta, stał obok kierowcy.

— W porządku — rzekł. I do mnie: — Trafiliś na spokojną noc.

— Nie ciesz się — rzekł reporter. — Ja

Dalszy ciąg na str. 4

JULIAN BRYSZ

W nadodrzańskiej HIROSZIMIE

Do szkoły podstawowej w Kostrzynie nadszedł list z dalekiego Uralu z obwodu czelańskiego. Nadawca pisał do młodzieży:

„Byłem w waszym mieście, gdy ono nazywało się jeszcze Kistrin, w obozie Lager 3-C. Pracowałem w fabryce krochmalu. Do pracy prowadził nas ulicami miasta młody Niemiec, który miał zawsze na

sztyt biały szalik, a na nogach buty z cholewami. Bił nas, gdy nie marszerowaliśmy w nogę.

Oto już wkrótce minie 20 lat od chwili, które wspominamy. Czy moglibyście drodzy przyjaciele napisać mi, jakimi ulicami prowadzono nas do pracy, jak się te ulice wtedy nazywały i jak się dziś nazywają. Sфотографуйте mi także oddział płuczek w fabryce, gdzie zmywałem piasek i oddział wirówek, gdzie także pracowałem. Miałem wtedy 18

lat. Gdy nasze wojska zbliżyły się do miasta w styczniu 1945 roku, przez rzekę po lodzie popędzono nas w głąb Niemiec. Wiele już czasu minęło, ale chce się wspomnieć te miejsca”.

Nie tylko młodzi uczniowie z kostrzyńskiej szkoły, ale właściwie nikt nie mógłby uczynić zadość prośbie autora listu, Leonida Niewraiewa, nauczyciela z Uralu. Bo w kilka tygodni po opuszczeniu przezeń Kostrzyna, nie tylko krochmalnia, w której pracował, ale całe piękne to miasto o 35 tysiącach ludności, przestało istnieć.

Jak można się dowiedzieć z kronik II wojny światowej, już 31 stycznia 1945 roku 2 armia pancerna gwardii i 5 armia uderzeniowa, nacierające w centrum i Frontu Białoruskiego, wyszły nad Odrę na północ i południe od Kostrzyna, po czym sforsowały rzekę i utworzyły przyczółki na jej zachodnim brzegu. Sam Kostrzyn, broniony przez uzbrojone po zęby jednostki SS, oparł się polaczką siłom dwóch armii i trwał w obronie przez następne 6 tygodni, aż do 12 marca, kiedy to rozpoczęło pańiczny odwrot. Choć nie pozostał w Kostrzynie nikt z jego dawnych

mieszkańców, nie wiedzieć jakim sposobem przechował się w tutejszej nie pisanej tradycji opis wstrząsających zajęć tamtego dnia. Otóż jedyny most przez Odrę tak zapchany był uciekinierami, że nie mogło się przezeń przedostać wojsko. W zbitym tłumie cywilów puszczone wtedy — przez całą szerokość mostu — czołgi, które „utorowały przejście”. Do hitlerowskich zbrodni ludobójstwa należałoby dodać jeszcze i te, popełnione na własnych rodakach.

W pamięci naszej przechowały się tragiczne obrazy zniszczonej Warszawy, Wrocławia i setek innych miast. Lecz mimo to, dopiero widok Kostrzyna może nas przekonać co naprawdę oznacza pojęcie „starty z powierzchni ziemi”. W Starym Kostrzynie, położonym w widłach Odry i Warty, nie ocalał ani jeden dom, ani jedna ściana czy komin na bezkresnym rumowisku. Nieco z boku, nad samą Odrą, stercza wypalony mur zamku, to wszystko. Pewien mój rozmówca przedostał się do zamku latem 1946 roku i znalazł tutaj przytwierdzoną do muru skrzynkę pocztową, pełną niewysłanych listów żołnierskich z 6 i 7 marca 1945. Przebiła z nich trwoga i rozpacz.

Na płaskowyżu fortocznej skarpy nad Odrą urządzono cmentarz-mauzoleum żołnierzy radzieckich, uwieczniony strzelistym obeliskiem. Z marmurowych płyt możemy odczytać nazwiska 19 pułkowników i majorów oraz kilkudziesięciu kapitanów i lejtendantów gwardii, poległych w bitwie o Kostrzyn.

Do dzisiaj rumowisko Starego Kostrzyna pozostało nie tknięte. Usunąć te miliony metrów sześciennych gruzów, lub choćby odkopać w nich wawoży dawnych ulic, byłoby przedsięwzięciem nadzwyczajnym i kosztownym. U skraju rumowisk ludzie tu i ówdzie wykrawają sobie kawałki gruntu pod ogródki warzywne.

Nowy Kostrzyn rozwinął się na dawnym przedmieściu, na prawym brzegu Warty. I tutaj niemal wszystko leżało w ruinie, ale został przynajmniej jakiś „zarys” miasta. Została stercząca samotnie wieża ciśnień, a opodal gigantyczna piekarnia, zaopatrująca ongi w chleb

Dalszy ciąg na str. 3



Napalm i gaz w walce z partyzantami — oto, do czego doszły Stany Zjednoczone w swoim „stopniowaniu wojny” w Wietnamie. Zdenerwowanie nieumiejętnością rozstrzygnięcia problemu na drodze militarnej pchnęło USA do sięgnięcia po broń, zakazaną protokołem genewskim z 1925 roku. Użycie gazów, które może mieć trudne do przewidzenia konsekwencje militarne, polityczne i psychologiczne, jest najlepszym potwierdzeniem desperackiej sytuacji, w jakiej znajdują się Stany Zjednoczone.

Podjęcie takiej decyzji przywódcy amerykańscy wykazali zadziwiający brak psychologicznego wyczucia, nie docenili oburzenia, jakie ich akcja wywołała na całym świecie.

„Trudno jest ustalić — pisał „Washington Post” — ile szkody napalm i gaz wyrządzają wrogości, natomiast nie trudno jest zorientować się, ile szkody wyrządzają one nam...”

Pani prezydent — napotyka dziennik — przestępny natychmiast stosowania napalmu i gazów w Południowym Wietnamie.

Inne pismo: „New York Times” — stwierdza: „W Wietnamie biali ludzie dostarczali gaz i zaaprobował jego użycie przeciwko Azjatom. Jest to coś, czego nie zapomni żaden Azjata — bez względu na to, czy jest on komunistą czy też nie”.

Coraz liczniejsze głosy sojuszników USA, podkreślające, że „przy najlepszej nawet woli trudno jest zrozumieć amerykańską politykę” — skłoniły prez. Johnsona do złożenia na zamkniętym posiedzeniu gabinetu oświadczenia w sprawie Wietnamu.

Tak więc, posługując się rachunkiem samego Johnsona, Stany Zjednoczone po raz 49 określiły „podstawy swojej polityki”. Nie ma w oświadczeniu niczego nowego, już sam jednak fakt sięgnięcia po tę rzadko praktykowaną metodę budzi liczne komentarze.

Lektura dzienników amerykańskich jest wielce pouczająca, dominują bowiem ostatnio tytuły w rodzaju: „Czas na dyplomację”, „Zatrzymać się półtęcza” itp.

Z wydarzeń, związanych z problemem wietnamskim, odnotujemy jeszcze jedno: rozmowy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Stewarta w Nowym Jorku. Wprowadził on swoją opinię, że nie przyniosły one żadnych rezultatów, jednak nasiliła się pogłoska, iż rząd brytyjski podejmie wkrótce inicjatywę, zmierzającą do pokojowego rozwiązania problemu wietnamskiego. Najbliższa przyszłość okaże, czy pogłoski te są prawdziwe.

Prócz Wietnamu w ostatnich dniach uwagę na siebie zwróciła również Francja, i to zarówno z powodu wyborów samorządowych, jak i pożegnania, opuszczającego po 12 latach Paryż, ambasadora Winogradowa.

Ale o wszystkim po kolei...

Odbity w poprzednią niedzielę druga tura wyborów w pełni potwierdziła wyniki pierwszej. Bilans ten — zdaniem AFP — można określić w następujących słowach: „bardzo wyraźny sukces tradycyjnych partii centrowych i centrolewicowych, ogólny postęp w kierunku lewicy, fiasko partii gaulistowskiej”.

Marcowe wybory, które traktowane są w pewnym sensie jako konsultacja przed wyborami prezydenckimi, przyniosły Francuskiej Partii Komunistycznej zwycięstwo aż w 9 nowo-wybranych merostwach, i to w dużych ośrodkach miejskich, liczących ponad 30 tys. mieszkańców. To właśnie upoważnia do stwierdzenia, że zarysowała się tendencja przesunięcia z centrum na lewo.

Jak nasi Czytelnicy wiedzą z codziennej prasy, w ub. tygodniu dotychczasowy wiceminister spraw zagranicznych ZSRR — Zorin mianowany został ambasadorem radzieckim w Paryżu. Po 12 latach następuje więc zmiana na tym stanowisku. Krok ten oceniany jest jako zapowiedź dalszego zbliżenia między Związkiem Radzieckim i Francją, o czym pisałem w jednym z poprzednich komentarzy.

Uwagę publicystów zwrócił fakt, że prez. de Gaulle wydał na część dotychczasowego ambasadora — Winogradowa śniadanie pożegnalne w Pałacu Elizejskim. Jest to — podkreślają — znamienny szczegół, na ogół bowiem wyjeżdżający ambasador nie jest zapraszany przez szefa państwa. Ma to, w ich przekonaniu, potwierdzać tezę o korzystnym ewoluowaniu stosunków radziecko-francuskich.

Trzecim punktem zainteresowania w ostatnim okresie była debata w Bundestagu nad sprawą przedawnienia uchwał hitlerowskich. Ostatecznie uchwalono wniosek, że termin przedawnienia upływie z dniem 1 stycznia 1970 roku. Wprowadził — w stosunku do pierwotnych zamierzeń — jest to pewne cofnięcie się władz bońskich, jednakże decyzja ta nie może zadość uczynić światowej opinii publicznej. Za miast zniszczenia wszelkich przedawnień za mordsterwo, sięgnięto po mały kompromis, w wyniku którego ściganie zbrodni przedłużono zaledwie o cztery i pół roku.

„Czy ktokolwiek myśli rzeczywiście — pisał roterdamski „Algemeen Dagblad” — że ta szaryta praca, którą musi wykonać zachodniomocniacki aparat sprawiedliwości, może zostać wykonana w takim krótkim czasie?”

Parlament zachodniomocniacki bardzo kłopotliwego dla Bonn problemu pozbilił się w sposób formalny. Tym samym raz jeszcze udowodnił, że wcale nie myśli o prawdziwym oczyszczeniu NRF ze zbrodniarzy wojennych, a jedynie zmuszony został do uległości pod prężeniem opinii światowej.

W. SŁAWSKI

*) Choć używane przez USA gazy nie są śmiertelne — zdaniem specjalistów związanych z ONZ — mogą spowodować u atakowanych nimi poważne następstwa: trwały debilizm i wysokiego stopnia zakłócenie funkcji nerwowych.

TKronika TYGODNIA

NIEDZIELA,
21 MARCA

Radio Hanoi nadało oświadczenie Południowo-Wietnamskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego, w którym stwierdza się, że jeśli Stany Zjednoczone będą kontynuować angażowanie własnych wojsk w południowym Wietnamie i nadal rozszerzać wojnę na Wietnam północny i Laos, wówczas Front Wyzwolenia zwróci się do różnych krajów o wysłanie młodych ludzi i żołnierzy do południowego Wietnamu, celem pokonania wspólnego wroga.

Rząd indonezyjski podał oficjalnie do wiadomości, iż obejmuje nadzór nad zagranicznymi towarzystwami naftowymi, działającymi na terenie Indonezji. Według Reutersa ogólna wartość zachodnich inwestycji naftowych na terenie Indonezji wynosiła około 800 milionów dolarów.

Ameryka Łacińska notuje najwyższy przyrost naturalny w świecie. Jednocześnie 20 proc. ludności tego kontynentu zagrożenia blisko połowę globalnego dochodu pozostałych 80 proc. — stwierdził w przemówieniu były prezydent Brazylii Kubitschek.

Najtrudniejsze są pertraktacje o tym, czy należy pertraktować.

Couve de Mourville
PONIEDZIAŁEK,
22 MARCA

List podpisany przez 1.161 osób, od profesorów uniwersytetu, lekarzy, adwokatów, od robotników, przesłany został na ręce hiszpańskiego ministra informacji. Autorzy listu domagają się swobody stowarzyszeń, prawa do strajku, wolności słowa i informacji, zwolnienia więźniów politycznych.

W dzienniku „Zenmin-zipao” ukazał się artykuł deklarujący gotowość wysłania ochotników, „jeśli tylko zażąda tego naród południowowietnamski dla wspólnej z tym narodem walki w celu unicestwienia amerykańskich agresorów”. W artykule podkreśla się równocześnie, że naród południowowietnamski nie złoży broni, dopóki ostatni żołnierz amerykański nie opuści wietnamskiej ziemi.

W ciągu ośmiu minionych lat liczba turystów zagranicznych odwiedzających Jugosławię wzrosła z około 500 tysięcy do 1.800.000. Wpływy dewizowe od turystów za-

granicznych wyniosły w 1964 roku powyżej 90 milionów dolarów, co stanowi około 50 proc. dochodów dewizowych z całej wymiany towarowej Jugosławii z zagranicą lub około 9 proc. łącznych wpływów dewizowych z eksportu towarowego.

WTOREK,
23 MARCA

Plenum Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Robotniczej wybrało i sekretarzem KC Nicolae Ceausescu. Ujawnienie zbrodniczych faktów użycia przez Stany Zjednoczone i reżim sągajski napalmu i gazów bojowych przeciwko partyzantom południowowietnamskim wywołało gniew i oburzenie opinii publicznej na całym świecie.

Jordania podjęła decyzję, na mocy której samoloty należące do Swissairu nie będą mogły przelatywać nad terytorium tego kraju. Decyzję tę podjęto w związku z porozumieniem podpisanym przez szwajcarskie linie lotnicze z liniami lotniczymi Izraela.

Związek Radziecki zawarł z Turcją porozumienie handlowe o wartości 44 milionów dolarów. Nowe porozumienie jest o 25,5 miliona dolarów większe niż z roku ubiegłego.

ŚRODA,
24 MARCA

Większość delegatów odbywającego się w NRF zjazdu Socjaldemokratycznego Związku Studentów Szkół Wyższych uchwaliła rezolucję wyzywającą kierownictwo organizacji do wysłania na festiwal młodzieży i studentów w Algierze oficjalnej delegacji. Tym samym studenci wystąpili przeciw instrukcjom, jakie w tej sprawie otrzymali od kierownictwa SPD.

Wojna domowa w południowym Wietnamie przybiera coraz gorszy obrót, mimo bombardowania północnego Wietnamu. W istocie rzecz o sytuacji wojskowej nigdy nie była gorsza, aniżeli obecnie.

Walter Lippmann

Włochy zaapelowały do USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR o podjęcie rokowań na temat kryzysu wietnamskiego.

CZWARTEK,
25 MARCA

Prasa czechosłowacka dużo miejsca poświęca chińskiej kampanii prasowej w związku z demonstracją studentów, która odbyła się 4 marca pod ambasadą USA w Moskwie. Dziennik „Rude Pravo” podkreśla, iż kampania ta wyraźnie obliczona jest na rozpalenie nastrojów antyradzieckich.

Radio Bagdad oświadczyło, że Związek Radziecki, po Assuanie, podjął się realizacji budowy drugiej wielkiej tamy na terenie Bliskiego Wschodu, na Eufracie. Koszt budowy tamy oraz elektrowni wodnej wyniesie 50 milionów funtów szterlingów.

„Frankfurter Rundschau” publikuje treść rozmowy, jaką pisarz zachodniomocniacki Theodor Pinkus odbył ze znakomitym filozofem węgierskim Georgem Lukacsem.

Prasa albańska zapowiedziała wizytę premiera Czu En-laja w Tiranie. Szef rządu chińskiego przybędzie na zaproszenie premiera albańskiego.

Miesięcznik „Woprosy Filozofii” zamieszcza artykuł na temat kształtowania się świadomości socjalistycznej w ZSRR. Poważna część artykułu traktuje o ujemnym wpływie kultu jednostki na omawiany problem.

Nawarstwienia i wypaczenia świadomości ludzi radzieckich, zaszczepiane w okresie kultu jednostki — czytamy w publikacji — nie wypływały bynajmniej z ideologii socjalistycznej, lecz były rezydualnymi obyczajowymi dreszczami marksizm-leninizmu, w pewnym nawet stopniu feudalno-biurokratycznych przesądów; stanowiły one przeżytek subiektywistycznych pojęć, któ-

re pozostały w spadku po dawnych społeczeństwach i odrzuciły się w skomplikowanej sytuacji państwa radzieckiego w warunkach odczyszczenia kapitalistycznego”.

PIĄTEK,
26 MARCA

W związku z doniesieniami wskazującymi na przygotowania armii irackiej do podjęcia walki przeciwko Kurdom, szef Zjednoczonego Dowództwa Arabskiego egipski generał Amer, zaapelował eby rząd Iraku rozpoczął z Kurdami negocjacje i osiągnął porozumienie.

Czechosłowacki dziennik „Rude Pravo” opublikował informację na temat stanowiska KP Chin wobec moskiewskiego spotkania konsultatywnego z 1 marca br.



— Podejrzewam azjatkę...

Jak wynika z danych artykułu opublikowanego w miesięczniku „Międzynarodowa Ziemia” roczne tempo przyrostu produkcji przemysłowej w krajach RWPG wynosi 13,3 proc., w latach 1951-55, 10,4 proc., w 1956-60 i 8,6 proc., w latach 1961-63. Obniżenie tempa wzrostu produkcji w krajach RWPG oraz pewne zwiększenie tempa wzrostu w krajach kapitalistycznych powoduje, że kraje socjalistyczne wytwarzają będą w 1965 roku około 40 proc. światowej produkcji przemysłowej, zamiast planowanego 50 proc. Artykuł wskazuje na przyczyny, które spowodowały osłabienie tempa wzrostu produkcji, dodając, że mają one charakter przejściowy i zostaną przezwyciężone w najbliższych latach.

SOBOTA
27 MARCA

Niemcy zachodnie mied będą tej wiosny dwóch ambasadorów w Londynie. Obecnie pełniący tę funkcję Hans von Eltzdorff, który przygotowuje wizytę królowej Elżbiety II w NRF ma opuścić swoje stanowisko na miesiąc przed planowaną podróżą królowej. W wyniku energicznego sprzeciwu wyrażonego wobec Bonn niemieckiego dyplomata pozostanie na dotychczas zajmowanym stanowisku i będzie wraz ze swym następcą Blankenhornem asystował w czasie podróży brytyjskiej królowej.

Zamierzenia władz albańskich znacznego powiększenia hodowli świń na obszarze wybrzeża adriatyckiego napotkały na niespodziewany opór miejscowej ludności. Powód? Około 2/3 mieszkańców tych rejonów to muzułmanie, którym religia wzbrania hodowli świń i spożywania wieprzowiny. Zdecydowano tedy wszcząć kampanię na rzecz zwiększenia hodowli kóz.

Miedzy Departamentem Stanu USA a agencją wywiadowczą CIA trwa od pewnego czasu ożywiona, polemiczna wymiana zdań. Przyczyna: CIA wystąpiła z programem rozszerzenia zakresu pomocy dla proamerykańskich partii politycznych w tzw. wolnym świecie. Planom tym sprzeciwia się Departament Stanu, uważając je za nieusprawiedliwioną próbę ingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw. Oczekuje się, iż sprawa zajmie wkrótce Gabinet Amerykański, a być może Narodowa Rada Bezpieczeństwa.

POLONICA

„LA VOIX DU NORD”
O FRANCUSKIM
PRZEKLADZIE „LALKI”

Wychodzący w Lille dziennik „La Voix du Nord” opublikował w numerze z 13 lutego br. obszerną recenzję francuskiego przekładu „Lalki” B. Prusa. Autorem przekładu są: prof. Wacław

ZAJNTERESOWANIE
POLONI FRANCUSKIEJ
NASZA „SARAGOSSA”

Wychodzący w Paryżu w języku polskim „Tygodnik Polski” w numerze z dnia 14 marca br. drukuje obszerną recenzję bogato ilustrowaną zdjęciami z nowego polskiego filmu „Pamiętnik znaleziony w Saragossie”. Anonimowy recenzent pisze: „Przenie-

„NÓZ W WODZIE” I
„MŁODOŚĆ CHOPINA”
W LOS ANGELES

Jak podaje „Głos Ludowy” z dnia 27 lutego br., wychodzący w Detroit, począwszy od 3 marca w kinie „Europa Theatre” w Los Angeles, w Kalifornii, będą wyświetlane dwa polskie filmy: „Nóż w wodzie” i „Młodość Chopina”. Jak pisze komentator, filmy te spotkały się

ST. J. LEC
W „INOSTRANNOJ
LITERATURIE”

W starannie wydawanym popularnym miesięczniku „Inostrannaja literatura” periodyku Zw. Pisarzy ZSRR z 1 stycznia br. ukazały się „Myśli nieuczone” Stanisława Je-

Godlewski z Lille oraz pani Simone Deligne. „Znakomity ten przekład — pisze dziennik — stanowi dla badaczy dzieł literatury europejskiej nowe narzędzie pracy; dzięki temu przekładowi wi-

sienie na ekran powieści okazało się niesamowicie trudnym, ale udanym. Powstała gigantyczna komedia kostiumowa utrzymana w niespotykanym stylu opowieści wiązanych i wynikających jedna z drugiej coraz dziwniejszych i nieoczekiwanych”.

z bardzo pochlebną krytyką recenzentów prasy nowojorskiej i były z powodzeniem grane we wszystkich większych miastach USA.

Reklamując oba filmy gazeta pisze: „Pójdź świat będzie wielbił kochanków, ta opowieść będzie porwała! Wspaniałe dzieło Aleksandra Forda! Z udziałem

rzęgo Leca w przedkądzie W. Godlewskiego, „Tych krótkich myśli” jest równie 31. Należy zaznaczyć, że Lec jest bardzo popularnym i lubianym autorem, którego drukują

POLONICA

dza o Polsce stanie się niewątpliwie pomniejsza”. Dodajmy, że recenzent z „La Voix du Nord” podał w swoim ciekawym artykule kolejne życia i twórczości autora „Lalki”.

I dalej: „Kto wie, czy z uwagi na oryginalność i barwność opowieści nie zostanie (film) korzystnie oceniony na ekranach zagranicznych”.

Od siebie życzymy mu tego samego.

tem baletu i oper warszawskiej i poznańskiej — to o „Młodości Chopina”, a o „Nózu w wodzie” w ten sposób: „Najlepszy film roku — na Festiwalu Filmów w Wenecji”!

A my tak narzekamy na produkty rodzimego kine-matografii!

niemałże wszystkie literackie pisma Zw. Radzieckiego. Poprzednio ukazał się na łamach „Literaturnoj gazety” wywiad z Lecem na temat jego twórczości.

cały garnizon wojskowy Berlina i okolic, dziś wykorzystywana tylko w niewielkim stopniu.

Odradzał się Kostrzyn do nowego życia bodaj najtrudniej i najboleśniej ze wszystkich miast w Polsce. Pierwsi Polacy przybyli tutaj dopiero w lipcu roku 1945. Byli to kolejarze, którzy zamieszkali w wagonach na zrujnowanym dworcu. Strzelić graniczną zaciągnięto na dobre dopiero w październiku. Wcześniej przekradali się tutaj nocami zza Odry dawni mieszkańcy, usiłując pod gruzami odszukać swój dobytek.

Z końcem 1946 r. liczył Kostrzyn zaledwie 634 mieszkańców, głównie kolejarzy i celników z rodzinami. Elita techników, która przybyła tutaj, by dokonać inwentaryzacji budynków dawnej fabryki celulozy, musiała sobie szukać bazy w pobliskiej wsi Drzewice. Zresztą „sam” burmistrz zarządzał Kostrzynem na odległość z tychże Drzewic.

Staram się dość dokładnie scharakteryzować te pierwsze chwile, chcąc udowodnić, jak odważny i pełen energii był naród, który zdecydował się przywrócić do życia to nie istniejące miasto, leżące wśród lasów, z dala od innych większych skupisk ludzkich, na ostatnim kilometrze kraju. Bo przecież historia zna wypadki, że większe nawet miasta nie podnosiły się z ruiny, zarastały trawą. I z Kostrzynem mogło stać się podobnie.

Inż. Ludwik Banaszak zobaczył Kostrzyn po raz pierwszy wiosną 1946 roku. Pamięta, że jechali samochodem ścieżką wśród zwałów gruzu, ścieżka tak wąska, że kiedy trzech pijaków stanęło na drodze, nie mogli ich wyminąć. „Po co się pachacie do celulozy – odpowiedzcie-li, zapytani jak trafić do fabryki – tam tylko kupa śmieci”.

Z wybudowanej w roku 1938 przez koncern „Phrix” kostrzyńskiej celulozowni, zostały tylko zewnętrzne mury budynków, bez dachów i klatek schodowych. Chcąc sporządzić projekt odbudowy, a także właśnie zadanie otrzymał inż. Banaszak, trzeba było dokonać pomiarów obiektu, od tego bowiem zależała wielkość i rozlokowanie maszyn. Roślina ta wymagała zdolności tatelników.

Już wtedy, oglądając budynki, inżynier zaczął podejrzewać, iż w rozwiązaniu projektowym celulozowni musiał tkwić jakiś błąd. Trudno było właściwie powiedzieć, na czym polegał, ale wzajemne proporcje gmachów wskazywały, że gdzieś było „waskie gardło”. Sprawa wyjaśniła się całkowicie dopiero w 3 lata później, kiedy dyr. Banaszak przypadkowo odnalazł w Wirmbergu jednego z byłych inżynierów „Phrixa”. Za kilogram słoniny kupił od niego kopie niektórych zachowanych rysunków i dokumentów fabryki. Kopia powstała w ten sposób, że woźny magistratu za skromną opłatą wypożyczał im na noc maszynę do pisania, a rolę stenotypistki pełniła żona niemieckiego inżyniera. Okazało się, że „Phrix” budował celulozę z zamiarem produkowania 100 ton wyrobów na dobę, a uzyskiwał zaledwie 50-60.

Pierwsze prace budowlane rozpoczęto w celulozie w roku 1951. Prace szły jednak słabiej, a to z różnych względów. Zmieniali się wykonawcy, przemysł papierniczy przechodził z jednego do drugiego, a potem do trzeciego ministerstwa, itp. Niektórzy ludzie przejawiali wówczas brak wiary w celowość inwestowania na Ziemiach Zachodnich, co również przyczyniało się do opóźnień. Wahania i wątpliwości co do Kostrzyna rozstrzygnęła dopiero decyzja KC partii.

WŁADYSŁAW
BORTNOWSKI

ZAWALIDROGI waszej HUMANISTYKI

Nie tyle w gronie zainteresowanych, ile w gronie niechętnych wybranych toczy się dyskusja nad zmianą programów w szkołach wyższych. Niektóre kierunki studiów już realizują „novum”, inne cierpliwie czekają na gotowe dyrektywy.

Zamierzenia reformatorskie nie są znane nawet kadry samodzielnych pracowników nauki, tym niemniej warto jest zastanowić się nad tym, jakie to „choroby” toczą dziś, przed reformą, nasze studia humanistyczne i ja-

kie narzekania są najczęstsze i wśród wykładowców i wśród studentów (rzecz jasna tylko odnośnie do programów).

Szkolnictwo wyższe musi, niestety, nadrobić niedociąg niecia szkoły średniej, traciąc czas na uczenie tego, co tkwi w programie liceów. Braki w przedmiotach kierunkowych są stosunkowo łatwe do uzupełnienia. Na filologii polskiej „douce” w zakresie gramatyki czy historii literatury odbywa się niemal bezboleśnie, tak samo i na historii. Natomiast słabe przygotowanie młodzieży w zakresie języków obcych zmusiło uniwersytety i inne szkoły wyższe do rozbudowy lektoratów.

Studenti I roku historii mają aż 8 godzin lekcji języków obcych tygodniowo (w tym 4 godziny łaciny), na filologii polskiej 6 godzin, na filologii klasycznej 15 godz. tygodniowo. Pomimo tych „wysokich wymiarów” narzekania wykładowców na słabe przygotowanie studentów do czytania tekstów w językach obcych nawet na 3 roku studiów (a więc po dwuletniej nauce do datkowej) są powszechne. Wniosek, że dotychczasowa pozycja „lektoratu” jest chyba nienaruszalna i należy do-

stulować raczej zwiększenie wymagań ze strony lektorów, aniżeli „skrót” w zakresie nauczania.

Studia humanistyczne w założeniu kształcą nauczycieli. Pod tym kątem zostały ułożone programy. W ciągu 5 lat student powinien „wkuwać” i zdawać egzaminy, natomiast nie pozostawiono mu czasu na studiowanie – pogłębienie znajomości tych zagadnień i problemów, które go specjalnie zainteresowały.

Na Uniwersytecie Łódzkim docenci H. Kappesowa i B. Zwolski przeprowadzili „prywatnie” ciekawy, moim zdaniem, eksperyment. W czasie egzaminów ze średniowiecznej historii powszechnie próbowali oni sprawdzić znajomość okresu wcześniejszego. Okazało się, że w ciągu roku słuchacze mieli dość czasu, by zapamiętać historię starożytną.

Potwierdzenie wspomnianych obserwacji uzyskałem od studentów IV roku podczas egzaminów z historii ZSRR. Okazało się, że równolegle przerabając (właściwie wkuwając) historię Polski, powszechna i ZSRR nie potrafili oni operować łącznie przyswojonym materiałem. Każdy egzamin traktu-

ją jako wyizolowany zespół wiadomości do pamięciowego opanowania. Jednostkę procesu historycznego pozostawia dla nich zagadka, którą możliwie, że niektórzy będą się starali rozwiązać samodzielnie już po uzyskaniu dyplomu.

Dążenie do wykształcenia „wszechstronnie” przygotowanego nauczyciela danego przedmiotu (chodzi mi o nauczyciela historii) pociągnęło włączenie do programu takich dodatkowych dyscyplin jak: statystyka, demografia, geografia gospodarcza, elementy nauk pedagogicznych, teoria rozwoju społecznego. Rzecz jasna na każdy z dodatkowych przedmiotów można było przeznaczyć niewiele czasu. Stąd skrótkowo-podkreśnikowe ujęcie i egzamin.

Tymczasem statystyka demografii, geografia gospodarcza i historyczna – to dla historyka typowe odgałęzienia nauk pomocniczych historii. Podczas wykładów i ćwiczeń student powinien poznać przydatność dla historyka pewnych nauk wykraczających poza historię, nauczyć się wykorzystywać je w swojej pracy, ale to nie znaczy, że w zakresie „brykowania” musi złożyć odrębny egzamin i mieć odfajkowaną

znajomość jeszcze jednego przedmiotu. Szerzeg absolwentów historii, którzy zostali nauczycielami zgodnie podkreśla, że jeśli chodzi o przygotowanie do zawodu (ale nie życiowego) to także wiele dali im wykłady i ćwiczenia z metodyki nauczania historii, a później praktyka pedagogiczna w szkole. Natomiast – i to jest ważne – te liczne przedmioty, które w myśl programu miały ułatwić im pracę nauczycielską określają jako bezużyteczne.

Ograniczam się do zarejestrowania zjawiska, wstrzymując się od wyrażenia własnego zdania. Ale nasuwa się natęczyły truizm – teoria powinna znajdować potwierdzenie w praktyce.

Studia humanistyczne kształcą nauczycieli. Tymczasem znaczna część młodzieży stara się wymigać od tego zawodu. Magistrzy filologii polskiej walczą o posady w restauracjach, radiu, telewizji, wiskają się do domów kultury i bibliotek, nie gardzą posadami w wydziałach kultury rad narodowych i różnych instytucjach społeczno-oświatowych. Podobne zjawisko istnieje i wśród absolwentów historii.

Nie znam dokładnych da-

co jest mu bliższe – miasto czy fabryka.

„Kostrzyn to celuloza, a celuloza to Kostrzyn” – mówi się tutaj i zwrot ten pełen jest treści.

„Nazwa Kostrzyn jest słowiańskiego pochodzenia od nazwiska rodowego Kostrzewa” – czytamy na wstępie niemieckiej monografii wydanej w roku 1932 na siedemsetlecie istnienia miasta, założonego przez księcia Władysława Kelińskiego. Zanim hitleryzm nie podjął brutalnej germanizacji tych terenów, Niemcy uznawali jeszcze prawdę historyczną.

Miałem w ręku również „biały kruk” – kronikę Kostrzyna wieku XVII i XVIII, wydaną w roku 1849. Kronikarz zaczyna od słów: „Już od tysiąca lat stykają się tutaj wrogie światy germański i słowiański”. Ale to już historia.

Dzisiaj po drugiej stronie Odry Niemcy odbudowują dawne przedmieście Kostrzyna – Kietz, zamieszkały ongi głównie przez polskich rybaków. Przez most na Odrze przebiega co kilka minut pociąg, utrzymujący wymianę towarową między obu krajami. Tędy właśnie prowadzi jedna z ważnych linii tranzytowych handlu zagranicznego. Po obu stronach rzeki ludzie krzątają się pracownie wokół swych domów i warsztatów, pojeje „wrogich światów” należy odłożyć tam, skąd zostało wyciągnięte, na karty pożyczki, rozsypanie się ze starości kroniki.

Jeszcze w kilka godzin po wyjeździe z Kostrzyna czułem w ustach specyficzny smak celulozy, którym przesiąknięte jest całe miasto. Przywoziło mi to na myśl ów slogan, który nie jest sloganem „Kostrzyn to celuloza, a celuloza to Kostrzyn”. Nie chcę koloryzować, życie tutaj nie należy do łatwych. Odległość od stolicy województwa i innych wielkich miast powoduje permanentne braki w zaopatrzeniu, z powodu tej odległości człowiek czuje się tutaj trochę tak, jakby na końcu świata. Jedynie to przecież większe skupisko ludzkie wśród ogromnych obszarów leśnych, do najbliższego Gorzowa jest ponad 50 kilometrów. Z racji swego „skrajnego” położenia, nawet fabryka ma obecnie trudności ze znalezieniem przedsiębiorstwa, które podjęłoby się dalszej, zakrojonej na wielką miarę, rozbudowy zakładu. W zimowe wieczory, jak ten, kiedy stamtąd wyjeżdżałem, miasto pustoszeje wcześniej i wcześniej gasną światła w oknach. Są już domy, ulice i miejsca pracy, potrzeba jeszcze trochę czasu, by niedawni przecież przybysze, stworzyli tutaj zwarła zbiorowość ludzka. Życie miasta można niszczyć w jednej chwili, odbudowywać trzeba dziesiątkami lat.

Oglądałem przedwojenne widokówki Kostrzyna. Było to miasto z okazałym ratuszem i zabytkowym rynkiem, wtopione w pejzaż bogatej przyrody, z pięknymi bulwarami na brzegach obu rzek, spłatających się tutaj w jedną. Pokoleń nie trudziły się, by nadać mu skończony kształt architektoniczny, wznosili solidne budowle, dbali o kwiaty na klombach. Zapomnijmy na chwilę, że przedtem byli tu oni, a dzisiaj jesteśmy my. Tworzył to miasto człowiek, który chciał żyć i pracować. Upór szaleńców unicestwił dorobek kilku wieków, Kostrzyn zyskał sobie miano „nadodrzańskiej Hiroszimy”.

Teraz w ciągu roku buduje się tu więcej, niż przed wojną w ciągu dziesięciolecia, sukces następuje za sukcesem. Rozwija się Kostrzyn – rzecz można – w postępie geometrycznym. Ale kiedy zabliznia się wszystkie rany, kiedy zakwitną wszystkie klomby?

JULIAN BRYSZ

"SEP"

Wyjść nocą

Dalszy ciąg ze str. 1

Jestem pechowy. Będziesz jeszcze miał robotę.

Przemówił wówczas ten drugi, Marian Łuczak, kierowca:

— Przed dziesiątą była draka w „Polonii”. Zrobili rachunek na sto pięćdziesiąt złotych i nie mieli pieniędzy. Dwóch — miejscowy i gość z Wielunia. Ubiłali kelnierce. Odwieźliśmy na I.W. Prosto z „domu chłopca” trafia na komendę, z deszczu pod rynek; kolegium — areszt albo grzywna, no i rachunki za nocleg i likieri. To było wszystko do tej pory — na piętnaście minut nim wsiadł. Ręczywiście spokojna noc.

— Nie bój się — powiedział reporter. — Znam to miasto.

Ale oni znali lepiej.

„Sep” sunął powoli Piotrkowską i zaglądał przed siebie w oczy; wymawiali półgłosem nazwiska maskaradów przemijających chylkiem pod ścianami; podawali bez wahania ich imiona i adresy, śledzili każdy manewr cieni, każde zbliżenie do obcego; patrzyli w bramy, w załamania murów, gdzie znajduje się czasem ograbiony naiwny, zrobiony na bombę, zwabiony na miłość, pobity do krwi, nieprzytomny mężczyzna, na którego dziewczynki zastawiały się.

Dziewczynki. Skoro tylko przedsiębrały jakieś kroki, „Sep” wykręcał bezszelnie, podjeżdżał pod krawężnik, chłopcy zdejmowali czapki z głów, drzwi z dwu stron otwierały się nagle...

— Uważaj człowieku — mówił Piotr Jaworski. — Masz zegarek i pieniądze w kieszeni, zdrowa żona w domu i dzieci. Człowieku — mówił — moim obowiązkiem jest cię ostrzec.

Dziewczynka tymczasem była już daleko, wypłoszona i spisana przez Mariana. Docierała może do meliny, gdzie czekali na jej gościa...

Powiedział wcześniej do niej: — Idź stąd, kobieto. Zniknij z tych ulic. Jeśli coś się stanie, ja cię znajdę.

Sobota, Szósty marca, Godzina 22.50. Zmienacka, z niczego — jakby bez powodu grupa wędrujących wraków zaczęła się szarpać i „Sep” interweniował po raz drugi. Wraży byli przeciwko małemu, który został wepchnięty do wozu. Świadczący sutenerzy, prostytutki: „On chciał go okraść, panie władzo, on chciał staremu odebrać pieniądze!” „Uderzył staro, ja widziałam, ja mogę świadczyć!”

Marian wcisnął do wozu staro, na którego mały krzyczał: „sutenerze!” Później spisywali wraki, mały zaś rzekł do reportera:

— Pan mu nie wierzy, panie władzo! To on mnie uderzył. I ukradli mi pieniądze! Panie władzo, ja sam — ich piętnastu!

Marian z Piotrem są już w aucie oblepionym ciętymi wrakami.

— To on — krzyczy dziewczynka wytykając małego palcami — to on chciał mi zrobić dwieście złotych! — i śmieje się czarną szczeliną ust.

— Mały też się śmieje; nerwowo, cwaniecko...

— Ty turystko — mówi. Ty jesteś turystka...

Auto rusza i mały znów do reportera: — Chcieli mnie zrobić, panie władzo — wskazał na zegarek i przełknął z wysiłkiem ślinę — on się objął z perfidami i chcieli mnie zrobić z pieniędzy.

— Ze wszów i z mendów — kontruje stary. Zaczyna coś mówić do małego szepem...

— A jak było z tym biciem — spytał Piotr i mrugnął na mnie.

— Ja do niego nic nie mam — rzekł stary. — Uderzył mnie jego kumpel.

— A ty co powiesz?...

Mały trochę się waha, nie podejmuje nowy wątek.

— Chciał mnie zrobić kumpel tego turysty. Do starego żalu nie czuję.

Sobota, Godzina 23.10. Połączony z centralą „Sep” otrzymuje rozkaz. „Odbiór” — mówi dyspozytor. Marian podnosi mikrofon: „Pijany, Róg Piotrkowskiej i Jaraça, Zrozumiałem”. Zaraz potem dzwiga tego człowieka na rękach, jak dziecko; w radiowoze starzec otwiera oczy i patrzy nieprzytomnie na Piotra: zaczyna niezrozumiale bełkotać, monolog ten trwa aż do końca długiej trasy, bo tam na miejscu, w I.W., posadzony na ławce starzec, w oczekiwaniu na kolejną, momentalnie zasypia znużony natrętnym pytaniem o zawód, adres, miejsce pracy. Na karcie starca odnalezionego dziesięć minut temu pod ścianą ulicy, w mroku, w śniegu, w mrozie — Marian musiał napisać n.n. — nazwisko nieznanne. „Jak ty się nazywasz?” — dopytywał cierpliwie i tamten odpowiadał ze snu: „Byle jak”.

„Sep” znów sunie Piotrkowską, do swego kwadratu. O godzinie 0.8 ze stacji: „Halo „Sep”, wolam cię „Sep”. 22 Lipca Rodzina. Odbiór”.

Marian podnosi słuchawkę. W świetle ulicznych lamp i migotliwych pobliskich stacyjek twarz jego wydaje się sina, „Tu

„Sep”. 22 Lipca; zrozumiałem cię, jęde”. Po drodze trafia się zakrwawiony mężczyzna; trzeba przystanąć, dociąć go się stało, spisać... Młody, z zawodu, no... wszystko jedno, w każdym razie wykształcony, z rozbitym czołem i nasadą nosa, z lekka nietrzeźwy.

— Pobili pana? — pyta Marian.

— Nie — mówi — daję słowo. Upadłem na szynę.

— Idź do domu, człowieku. Prosta droga. Idź do domu, i uważaj.

— Uważaj — powiedział Piotr. On wszedł pierwszy, za nim Marian z latarką i reporter. Gdzieś na wyższych kondygnacjach wrzalo — krzyk zmieszany z płaczem dziecka, z lamentem kobiety. Przestraszona dozorczyni pierzcha w bok i szli teraz ciemną, wilgotną klatką schodową rozświecając mrok latarką.

Pokój mały, umeblowany skromnie; kobieta wpuszcza ich do środka załamując ręce. Na jednym łóżku przytrzymując kałesony w garści siedzi chudy człowiek z ustami rozchylonymi zdziwieniem; krzyk zamartwił już na nich i bluźnierstwo. Już się nie ciska, nie rzuca, usiłuje być trzeźwy, grzeczny, elokwentny, z wyrzutem spogląda na żonę, z miłością na dziecko, panowie łaskawi, bełkocze, panowie usiada.

Przestraszona, schludna kobieta stara się opanować. Pod pytającym spojrzeniem Mariana podchodzi do drugiego łóżka i wskazuje na zniszczoną pościel.

— Przyszedł pijany i gdy się obudził, zaczął wszystko drzeć. — W zmaltretowanym łóżku leży mała, piegawata dziewczynka; kobieta płacze: — Chciał udusić swoje dziecko. Swoje dziecko!

— Neluś — chudy człowiek w kałesonach zmienia front, jest uosobieniem dobroci. — Mamusiak. Ty...

— Pan się ubierz.

— Neluś, powiedz panom...

Zaczynają się pertraktacje. Zwodzi, wykręca się jak może, zakłada jedną skarpetkę, znów ją zdejmując, żąda od żony nowych, eleganckich, białych, swinguje ból brzucha, płacze, śmieje się, krzywi, już niby chce jechać, potem robi unik, a kiedy Piotr z Marianem biorą się do niego serio, już bez skrępowań skopuje but z nogi.

— eeee, a ja muszę jutro do pracy.

— Jutro niedziela.

— Ale trudno, niestety, nie da rady...

— Więc pojedzie pan nago?

— Chyba nie — mówi — chyba nie.

Teraz ubierają go wszyscy: żona, milicjanci, reporter. Zapinają marynarkę — skopuje spodnie, zapinają spodnie — skopuje buty, wreszcie wzięty z obu stron pod pachy wędruje do „Sępa” w neogłazu. Marian wraca po jego garderobę, sporządza protokół; wóz znów rusza do I.W. Po drodze pijany ubiera się szybko; jest zimno, bardzo zimno, więc sam prosi o palto, marynarkę i buty. Następnie zaczyna bluźnić, grozić, powoływać się na liczne znajomości, obrażać nasze matki i żony, i córki.

Na miejscu pokornieje, powtarza starą grę, chce oszukać lekarzy; słodki, uprzejmy, cagle mówi: „Jak najbardziej”.

Północ już minęła, więc niedziela... Miasto śpi, miasto tańczy i śpiewa — w rozpostartych oknach restauracji gra muzyka, pod drzwiami tłok, portier wpuszcza znajomych a obcych odpędza... „Sep” sunie cicho ulicami; ze ściany słychać jak „Barbara” prosi Centralę o sygnał, bo gdzieś, na dalekich przedmieściach, w mrocznym zaułku, leży pokrwawiony człowiek — trzeba się spieszyć, trzeba jechać pełnym gazem, gdyż za chwilę może być za późno. Zalogą „Sępa” słyszy jak Centrala daje pozwolenie i widzi już białe ślepie „Barbary”. Ostro, przeciągi, zwirowany klakson poraził miasto jak cios.

Godzina 1.05. „Sępa”, „Orla” i „Różę” alarmuje Centrala. Kioski! Szereg kiosków przy zderzeniu Kilińskiego z Traugutta; zachodzi obawa włamania. „Sep” ma podejść od Moniuszki, „Orzeł” z „Różą” Kilińskiego. Oczywiście ostrożnie, na zgłoszonych światłach, bez milicyjnych czapek na widoku; jak zwykle, zablakana „Warszawa”. Podchodzą, zamykają strefę kiosków z trzech stron. Jeśli ktoś tam operuje łomem — nie ucieknie! „Sep” zostawił reportera w środku, odpowiadając za siebie, powiedział, nie pozwolił mu wyjść. Kilka zwinnych sylwetek z latarkami w dłoni rozpoczyna penetrację. Mija pięć minut; podniecenie reportera z wolna słabnie. Wtem, kiedy tamci jeszcze w akcji, do Centrali przemawia „Jaskółka”.

„Taksówkarz powiedział mi, że wioził kogoś, kto był nietrzeźwy, w kieszeni miał broń i groził komuś zabójstwem”.

„Jedź tam — mówi Centrala — ale nie angażuj się specjalnie. Bądź ostrożny.”

„Tak — mówi ktoś z „Jaskółki” i reporter to słyszy. — Ja cię zrozumiałem”.

Upływa dalsze pięć minut. Kilka zwinnych postaci z latarkami w dłoniach szpera ciągle wśród kiosków. Stacja uparcie milczy, więc napięcie reportera spada po raz drugi. Lecz nagle „Jaskółka” odzywa się znów zmienionym, zdyszczanym głosem — niepodobnym niczym do spokojnej mowy milicjantów.

„Więc już — mówi. Już pistolet mu zabralam. Za minutę byłoby po wszystkim”.

Uspokój się — mówi Centrala.

Na krańcach miasta rozegrał się dramat, dramat bez polaty, bez tragicznego finału, dramat, w którego akcję milicjant wkroczył, miał wkroczyć, chciał wkroczyć, bo tak kazała mu uczciwość, odwaga, sumienie; mógł przecież nie usłuchać taksówkarza, spłoszyć go kpina, zinterretować słowa pasażera jak żart, zwykły niewinny żart. Ale wkroczył i dramat się nie spełnił! I śmierć musi jeszcze

czekać! Wkroczył i wszystko jest w porządku — żyje, nie odniósł pewnie ran, tylko ten głos, ten zdyszczany, zachrypnięty głos... jest inny niż być powinien: daleki od spokoju, wzruszony, młody — dwudziestoczteroletni!

Reporter był daleko od dramatu ale widział go wyraźnie. I widzi. Powtarza poszczególne segmenty scen; kiedy Marian z Piotrem wracają z objawy — mówi im o przebiegu zdarzeń. „Sep”, „Róża” i „Orzeł” rozchodzą się w różne strony; profilaktyczna akcja skończona.

Godzina 2.50. Na twarzy chłopców z MO widać już zmęczenie. „Sep” wyjeżdża w rejon „Casanovy” — tu zawsze jest gorąco, zawsze głośno i krzykliwe; w innych lokalach saksofony umilkły — tu grają. Z innych knajp ściągają tu turyści. Na ostatni drink. Na strzeżeniennego. Dobijają się do drzwi, proszą, grożą, wymyślają — coraz którzy przepłynię do środka; za sto złotych, uśmiech, obietnicę... Dziewczynki przycupnięty w bramach, w zakamarkach murów; czekają...

Czekają dziewczynki w portierni na Próchnika — Centrala posyła tam „Sępa”. Jest ich pięć. Nie ma na nie lekarstwa. Jest półśrodek — czterdziestoosmiodziesiętny areszt. Po upływie tego czasu znów wyjdą na łowy, na parę dni, nierz tylko na parę godzin. I znówu drewniana przyczła. I znówu! I znówu! Uparte w swym fachu, wyrobione, często tryskające energią i siłą; na pewno zdolne do pracy.

Wsiadają do wozu bez najmniejszych sprzeciwów; uśmiechnięte, zadowolone, wulgarnie dowcipne, beczelne; jedna mówi: „Znowu wczasy”. Śmieją się inne.

3.07. Sprzeczka małżeńska przy Piotrkowskiej. Ona jest trzeźwa — popłakuje. On zawiany — ale lekko. On chce być sam. Marian sprawdza dowody, usiłuje doprowadzić do zgody, ale on jest uparty, będo chodzą do białego rana, powiada, przecież mi wolno.

— Wolno panu — mówi Marian. — Byle cicho.

Ona idzie do domu samotnie.

3.15. Piotr ucisza rozdyktowaną grupkę młodzieży.

— Ludzie śpią — mówi. — Uszanujcie ich sen.

3.20. W bramie przy Moniuszki pewien pan robi słusiu. Za to grozi mandat. Nawet kolegium. Ale Marian puszcza pana wolno. W pobliżu nie ma ustępu, wrota domów zamknięte. Pan nie robił tego na środku ulicy, jak inni, jak często się zdarza. Pan pozwolił sobie powiedzieć do słuchu; umiał przeprosić, przyznać się do winy...

— Więc puśćłem go — rzecze Marian; — Trzeba przecież być człowiekiem.

W czasie nocnego dyżuru chłopcom przysługuje półgodzinna przerwa. Na kanapkę z serem, tyk herbaty, papierosa. Oczywiście chłopcom z radiowozów: z „Sępa”, „Orla”, lub „Barbary”. W Centrali Komendy Miasta przerwy takiej oficer nie znajduje. Tam dopiero wre robota. Na stanowisku oficera dyżurnego — majora Jerzego Garbowskiego — telefony dzwonią nieprzerwanie. Major decyduje często w ułamku sekundy; wydaje polecenia dyspozytorowi (oficerowi Stanisława Dowodzenia, którym jest tej nocy starszy sierżant — Roman Pszykowski), ten zaś dyktuje radiowozami w sposób bezbłędny — rozdziela im pracę, przynagla, straszy, masz wrażenie, że je widzi.

Widzi więc, że „Sep” odpoczywał. Wreszcie! Po kilku godzinach kryzysu! Po kilkunastu interwencjach! Marian zostaje w wozie, Piotr idzie z reporterem na dworzec. Zamawiają trzy kawy. Po dziesięciu minutach zmiana. Piotr wraca do auta, Marian wchodzi do kolejowej restauracji. Marian ma pecha: ledwo zaczął pić ciepłą kawę, już Piotr daje znać klaksonem, że Centrala ma „interes”.

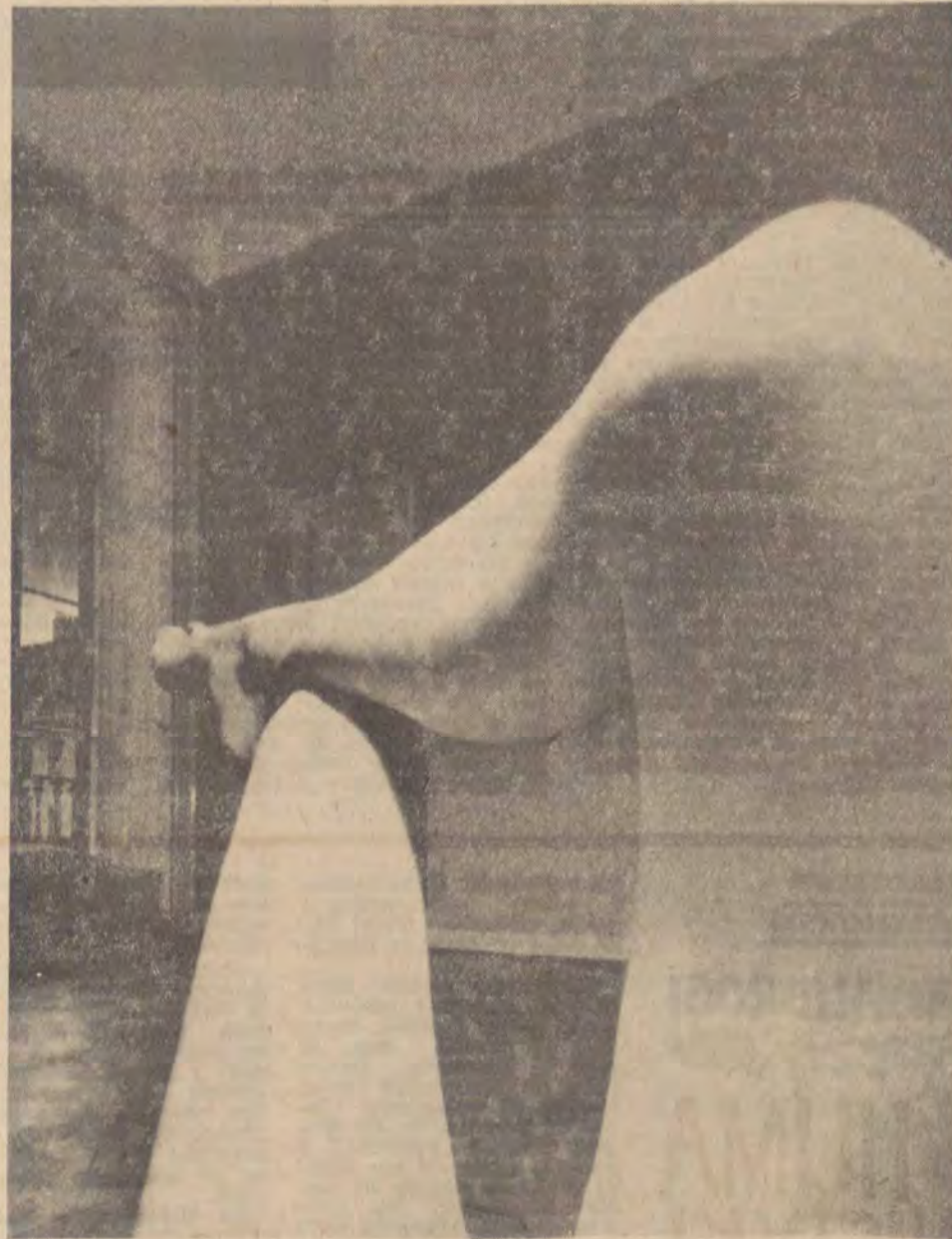
Kolejna interwencja. No jasne! — Alkoholik!

Spł miasto twoje. Po zabawie i pracy. Krańce nieba nachodzą już brzaskiem. A „Sep” jeździ wciąż jeszcze jeździ, wciąż czeka na rozkazy Centrali. Przesuwa się cicho ulicami śródmięscia zaglądając w zaułki i bramy. Zahacza o pasaża, parki...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

P.S. Majorowi Ryszardowi Włodarskiemu za informację, za życzliwość, za zgodę na spędzenie nocy w „Sępie” — składam tą drogą swą wdzięczność.

A. M.



Bill Brandt uważany jest za najwybitniejszego fotografika Anglii. W swym bogatym artystycznym dorobku zapoczątkowanym jeszcze w latach współpracy z Man Ray ma Brandt prócz głośnych wystaw takie książki fotograficzne, jak „Noc w Londynie”, „Anglik u siebie w domu”, „Świat literacki” itp. Wystawy Brandta odnosiły ogromne sukcesy w Paryżu, Nowym Jorku i Rzymie. Najnowsze dzieło Brandta „Perspektywa nagości” uznane zostało za dzieło nowatorskie. Publikując parę prac z tego właśnie cyklu, Czytelników niezorientowanych w fotografii pozostawiamy w niepewności, jako że przecież pierwszy kwietnia już blisko.

Świat doktora Schweitzera

W nocy, która poprzedzała dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin doktora Schweitzera, na drodze wiodącej w głąb dżungli wydarzyła się katastrofa autobusowa. Dawniej ofiary wypadku stawały się łupem dzikich zwierząt, węży boa, krokodyli. Dziś ciężko rannych przywieziono natychmiast do białego baraku szpitalnego.

Tubylcy wierzą, że ręce lekarzy „wielkiego białego człowieka” dokonane potrafią cudów. Szukając w mroku nocy oderwanej ręki czy stopy są pewni, że doktor Schweitzer potrafi przyszyć ją, ratując ofiarę przed kalectwem.

Nazwisko doktora Schweitzera jest głośne nie tylko w czarnej Afryce. Jego rady zasięgają wybitni specjaliści medycyny, muzyki, filozofii, literatury. Od dziesiątków lat zaszyty w dżungli Gabonu, dr Schweitzer skupia na sobie uwagę całego świata. Królestwo jego leży nad rzeką Ogowe, — składa się z szeregu domków o czerwonych dachach i białych ścianach, z trzynaściami pięciu osób personelu lekarsko-pielęgniarskiego i z przeszło 500 chorych. Goszczą tu także trędowaci, których wyleczono.

Dzień, w którym doktor ukończył dziewięćdziesiąty rok życia zgrupował od rana wszystkich współpracowników przybyłych z życzeniami. Potem było wspólne śniadanie i serdeczne słowa solenizanta do tych, którzy z nim poszli „na dobrą i złą drogę”.

— „W tym dniu — mówił doktor — nie mogę pominąć milczeniem dwóch nazwisk, Menen Soli i Basila. Szedłem z nimi wzdłuż rzeki... musiałem zbudować szpital, ale nie taki, który mierzyłby w niebo. Twój szpital musi stać twardo na ziemi, wrosnąć w grunt afrykański”.

A potem były powinszowania, życzenia, przyjmowanie delegacji, gratulacyjne depeche. Wśród nich nie brakło pozdrowień od przedstawicieli rządów.

Na placu Niepodległości w Lambarene długo w noc rozbrzmiewały pieśni i słychać było tam-tamy.

W kolonialnym kasku doktor Schweitzer odbywa swój codzienny spacer, który ma w sobie coś z gospodarskiego przeglądu. Pierwsze

kroki kieruje do ogrodu, gdzie znajdują się kozy i antylopy. Przechodząc przez palmowy zagajnik pyta towarzyszącego mu dziennikarza:

— „Niech mi pan powie, dlaczego wszystkie nasze budynki zwrócone są ku wschodowi?” — i zaraz sam daje odpowiedź: — „W ten sposób zabezpieczamy się przed słońcem — jesteśmy bardzo blisko równika. A faliste dachy budujemy nad dachami izolacyjnymi”.

— „To są żony chorych. Przyszły tutaj i pozostają z mężami. Pracują, by w ten sposób odpłacić za pomoc lekarską. Gdy choruje kobieta, to mąż przychodzi pracować. Rodzina każdego chorego pomaga szpitalowi. Baraki szpitalne są liczne. Co roku dokonuje się tutaj 950 operacji chirurgicznych i przyjmuje około 400 porodów.

Przed długim budynkiem grupa Murzynów. — „Na budynku napis „Choroby nowe”.

— „Co ci jest? — pyta doktor Schweitzer jednego z Murzynów.

— „Robaki” — pada odpowiedź.

— „Duże, czy małe? —

— „Małe, malutkie. —

Doktor uśmiechem umacnia nadzieję biedaka, że tu chodzi tylko i jedynie o małe robaki.

— „Nigdy nikomu nie odmawiamy pomocy”.

Statystyka szpitala wykazuje, że w ciągu 52 lat swego istnienia wyleczono 500 tysięcy chorych. Pawilon chirurgiczny to duma doktora Schweitzera. Różni się od innych budynków swym szpitalnie-nowoczesnym wyglądem. Dziś od rana wykonano już dwie operacje, do końca dnia zaplanowanych jest osiem. Dr Ritz — Szwajcar — operował wrzód na karku pacjenta, który na własnych nogach udał się już do domu. Potem było cesarskie cięcie, a doktor Jarosław Sedlaczek — Czech dokonał plastyki ucha.

Wokół dżungla afrykańska dżungla — przy budynkach drzewa owocowe — bananowce, palmy ananasy. Jedną z Murzynek siedzącą na go na ziemi, usiłuje umyć pianą mydła twarz, szyję i piersi.

Ale doktor uniósł rękę. Uwaga! Dwa szeregi mrówek maszerują w poprzek drogi. Zwarte szeregi mrówczanego wojska liczą trzy centymetry szerokości. Mrówki posuwają się szybko.

— „To są nasi najdzielniejsi przyjaciele” — mówiła później doktor Joan Clent. — „Wszystko oczyszcza. Jeżeli padnie jakieś zwierzę, w parę godzin nie pozostaje po nim ani śladu. Gryzą też bardzo dotkliwie”.

Na drzewie dwie małpy, szympansy „Plumplum” i goryl „Cleopatra”. Szympansy zerwał się z łańcuszka, w pogon za nim puściła się kura. Nie tak dawno na bocznej ścieżce pyton spokojnie pożerał koźle.

W chwilach spędzanych w domu doktor Schweitzer wiele czyta, pisze, pracuje naukowo. Mieszka bardzo skromnie. Zwyczajem tubylców przewiewna ściana zapewnia stałą

wentylację. Z okna swej surowej izby widzi doktor tajemniczą czarną dżunglę, szeroki nurt rzeki i cementowy krzyż wzniesiony na grobie żony, zmarłej w 1957 roku. Ten filozof — mistyk ma w sobie coś z Marka Twaina i Einsteina — razem. Uśmiecha się życzliwie, jest ujmujący, prosty. Zna doskonale Afrykę i jej problemy.

— „Jak można spokojnie patrzeć w przyszłość, jak można mówić o optymizmie, skoro w Afryce warunki życia są tak ciężkie... A zresztą... jestem sobie zwykłym lekarzem — to o czym marzyłem, to mały szpital, ale pacjentów wciąż przybywało. Ludzie dali ziemię, inni przyszli, aby mi pomóc. I tak urosła nasza rodzina”.

Doktorowi Schweitzerowi zarzucają, że zbyt mało troszczy się o unowocześnienie szpitala.

— „Nie potrzebujemy piętrowych budynków, ziemia nas nie kosztuje, możemy rozrastać się wszędzie. Gdybyśmy zaczęli stawiać nowoczesne piętrowe budynki, stworzylibyśmy tu obce środowisko. Dla naszych chorych byłoby to zbyt wielki szok. Tutaj pozwalamy rodzinom opiekować się chorymi. Ułatwia to biedakom przybyłym z głębi buszu

szybszy powrót do zdrowia. Rodziny pracują przy chorych. W ten sposób możemy obsłużyć większą liczbę. Obecność bliskich sprzyja leczeniu chorych. Tu w grę wchodzi względy psychologiczne. — Z czego jestem dumny? — Największą satysfakcję sprawiło mi zbudowanie szpitala — jeszcze większą leczenie ludzi”.

I powtarza z uporem: — „Każdy może sobie stworzyć swoje małe Lambarene”.

Kto spędził choć tydzień z dr Schweitzerem nie może nie zastanowić się nad tym, jak wiele dał ludzkości ten człowiek, który dobrowolnie porzucił cywilizowany świat i wybrał życie w afrykańskiej dżungli.

— „Porzuciłem stanowisko profesora uniwersytetu w Strasburgu” pisze doktor w jednej ze swoich pierwszych książek — „zaniechałem działalności literackiej, aby zostać lekarzem w Afryce Równikowej. Czytałem wiele o nędzy w afrykańskim buszu. Czym bardziej zastanawiałem się nad tym — tym trudniej było mi zrozumieć, dlaczego my Europejczycy, nie chcemy podjąć olbrzymiego obowiązku, jaki nakłada na nas poczucie człowieczeństwa”.

Długie miesiące zastanowienia i wreszcie myśl jedna, w której zawarta została cała ideologia Schweitzera.

— „Płynęliśmy rzeką, wiosłowaliśmy ciężko. Mielimy rozplanować sieć kanałów nawadniających suchy piasek. Pod wieczór rzeka zaroila się od hipopotamów. Siedziałem na burcie zagubiony w myślach. I wówczas ujrzałem wyraźnie... reszta stała się jasna: Poznanowanie Życia! — Im kto lepiej poznał otaczające go życie, tym silniej wiąże się z nim, tym bardziej czuje się współodpowiedzialny za wszystko co żyje, duże i małe”.

To swoje przekonanie dr Schweitzer przemyslał i wcielił w czyn w afrykańskim szpitalu. Dziś nie może już zajmować się czynnie leczeniem chorych, czuwa jednak, aby jego etyka była realizowana. O niej mówi, o niej pisze, zamykając swoje myśli w dziele, którego naczelną idea jest szacunek dla życia.

TE IDEE dr Schweitzer stawia przed całym światem JAKO ELEMENTARNA ZASADA WSPÓŁŻYCIA MIĘDZY LUDZMI.

Opracowała:
MARIA TYMOWSKA



CO TO JEST BIOMETEOROLOGIA?

Na całym świecie zwraca się duża uwaga na rolę meteorologii w różnych dziedzinach gospodarki narodowej. Poświęcono problematyce meteorologicznej światowy Dzień Meteorologii obchodzony dnia 23 marca po raz piąty, pozwala spojrzeć na meteorologię właśnie pod kątem jej użyteczności. O wielkim stopniu zaangażowania się meteorologii w życie gospodarcze świadczy m. in. problematyka jednego z jej działów — biometeorologii.

Biometeorologia jest to nauka badająca wpływ środowiska meteorologicznego na żywe organizmy a w szczególności na organizm ludzki. Początki tej nauki i jej pochodnej, bioklimatologii, znajdujemy już w starożytności, ale jej prawdziwy rozwój związany jest dopiero z początkiem XX wieku.

Powszechnie wiadomo, że pewne choroby wykazują wyraźne nasilenie na ogół zawsze w tych samych porach roku i dlatego nazywane są chorobami sezonowymi lub meteorotropowymi. Choroby meteorotropowe jest m. in. grypa, która w Łodzi wykazuje bardzo wyraźne maksimum nasilenia w lutym i marcu a minimum w miesiącach letnich. Francuski biometeorolog Sanson

wiąże wzrost zachorowań na grype z wysokim ciśnieniem atmosferycznym przy jednoczesnej dużej wilgotności powietrza. Niemiecki biometeorolog B. de Rudder uważa za statystycznie udowodnioną zależność od pogody następujących chorób i dolegliwości: bóle przy bliźnich pooperacyjnych, bóle reumatyczne, kolk drożdżycowy i nerwowy, krwawienia, zapalenia płuc, zawały i niektóre choroby oka. Jako choroby prawdziwie zależne od pogody B. de Rudder podaje pooperacyjne komplikacje w układzie naczyniowym, skurcze naczyń, zakłócenia w pracy serca, zakłócenia w krwioobiegu.

Niedostatecznie wyjaśniony jest mechanizm oddziaływania pewnych stanów pogodowych na psychikę człowieka. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że przejście frontu wywołuje u wielu osób złe samopoczucie i stan depresji psychicznej. Należy tu wyjaśnić, że frontem nazywamy nachyloną do powierzchni Ziemi płaszczyznę, wzdłuż której stykają się dwie różne masy powietrza różniące się na ogół bardzo między sobą cechami fizycznymi. Front posuwa się stosunkowo szybko w kierunku poziomym w związku z czym przejście frontu przynosi ze so-

bą nagłą zmianę cech fizycznych powietrza (temperatury, wilgotności, stopnia jonizacji powietrza, nagły spadek ciśnienia itd.), a latem frontem towarzyszą także często gwałtowne burze. Organizm ludzki nie jest w stanie dostosować się w tak krótkim czasie do zmienionych cech fizycznych otaczającego go powietrza, co z kolei jest źródłem wielu dolegliwości odczuwanych szczególnie silnie przez ludzi chorych i osłabionych. Interesujący jest fakt, że pierwsze symptomy złego samopoczucia i depresji psychicznej stwierdza się jeszcze przed faktycznym przejściem frontu. W przeciwnieństwie do frontu zakłócającej pogody fronta wywołana pogoda przynosi dobre ogólne samopoczucie, wysoka prężność organizmu i zwiększoną pobudliwość. Niezwykle interesujące są tu badania niemieckiego psychologa H. Mühlera, który analizując częstotliwość wypadków przy pracy w pewnym południowo-niemieckim zakładzie metalurgicznym, stwierdza wyraźny wzrost liczby wypadków przy dniach frontowych i okresach poprzedzających przejście frontu. Przeprowadzone pomiary czasu reakcji czyli tzw. refleksu przez tego samego naukowca wykazały, że czas reakcji jest znacznie dłuższy w okresach poprzedza-

jących przejście frontu a zwłaszcza podczas samego przejścia frontu niż podczas pięknej pogody. Okresy zakłóconej pogody opóźniają refleksy są m. in. przyczyną wzrostu liczby wypadków przy pracy a w szczególności przynoszą ze sobą wyraźne nasilenie wypadków drogowych. Wiele uwagi poświęca się w biometeorologii problemom zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego stałymi, ciekłymi i gazowymi związkami chemicznymi. Problematyka ta jest bardzo aktualna w wielu zakładach pracy, a także w całych miastach przemysłowych, również w Łodzi. W Łodzi problemem zanieczyszczenia powietrza zajmuje się specjalna komórka przy Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Aczkolwiek likwidacja wielu kominów w naszym mieście wyrażnie poprawiła sytuację, to jednak stopień zanieczyszczenia powietrza często jeszcze przekracza dopuszczalne normy. Wyniki uzyskane dzięki badaniom nad zanieczyszczeniem powietrza są wykorzystywane przy planowaniu nowych i rozbudowie istniejących miast, budując je w miejscach przewiewnych i lokalizując zakłady przemysłowe po tej stronie miasta, z której najrzadziej wieje wiatr. Jednocześnie zakłada się pasy zieleni miejskiej o charakterze

izolacyjnym, stwarzając dzięki parkom i skwerom odpowiednie warunki dla wypoczynku po pracy.

Odpoczynek wiąże się ściśle z urolopem i wczasami. Początkowo pobyt w nowym miejscu o innym klimacie jest połączony z pewnym pogorszeniem samopoczucia wczasowicza. Jest to związane z aklimatyzacją, procesem przystosowywania się organizmu do nowego klimatu. Badania przeprowadzone nad długim okresem aklimatyzacyjnym dla mieszkańców Łodzi wykazały, że jest ona różna dla różnych miejscowości i zależna od indywidualnych cech wczasowicza. Dla przykładu można dodać, że przeciętny okres aklimatyzacyjny dla mieszkańców Łodzi wynosi nad morzem około 14 dni, co rzutuje niekorzystnie na dwutygodniowe urlopy nad morzem. Aklimatyzacja w głębi kraju trwa znacznie krócej.

Z przytoczonych powyżej kilku wybranych problemów widać, że problematyka biometeorologiczna jest bardzo szeroka, przy czym należy pamiętać, że nauka ta w zasadzie dopiero mijła swój pionierski okres.

Mgr HENRYK KOMENDZIŃSKI

Grajek

Wiem to z pamięci wstaje mgła
Na hakach wieszka ludzkie cienie
To krew ciekąca z karku dnia
I moje ciało wsiąka w ziemię

Powoli schodzę na dno snu
Gdzie spadłe zakopują pamięć
Zostanie po mnie garstka słów
I cisza z której nóż wypadnie.

Białobrozie już ci świat
czy to świat tak zaszeleścił
gdy odchodzę w dzienny sen
sponad wierszy
może ze snu wejdzie wiersz
gdy w sen złożę ciało swoje
w ciemne
— nigdy niewiadome
wtedy z lasu nagle wejdzie
załomce
drzwi otworzy...
nie zatrwoży się mým snem
rzeźkie
jasne białobrozie
choć tu we śnie topór nagi

plachta krwi i kochankowie
popod wojną ledwo żywi
czy ocale
cóż ocale
białobrozie ktoś odpowie
tylko głuchy stuk
i łomot
może krzyk
— nadchodzą Niemcy
i to nie że kiedy wstanę
o południu
w ręce ujmę samo słońce
— jakby wusło
prosto z nocy
prosto z nocy — w jasny dzień

skacze ulica
zaulki miasta wyciągają szyje
węchem wnikają w ciemności bram
biegną przystanki
rozszerzone żrenice domów
gubią się w nadmiarze wzruszeń
huczy miasto w odnogach alej
tętni chodnik
potencjalnym ciepłem stóp
odchodzących w historię
w postaciach zamysłonych kamienie
zasnęły skrzypce

Odjazd

Błądną rzeką
maszerują drzewa
w głuchym rytmie
Rumak słońca odjeżdża
w czerwonej zadumie
Twoja postać
nieoczekiwanie wyrasta
w grających skrzypcach

Zarys

Ktoś posadził różę
ukrytą w ziarenku
Ktoś ją kąpał w lustrze
bezkształtnych strumieni
a potem dojrzał
całował bez wdzięku
poblądnym w zarysie
uśmiechem jesieni

WITOLD BORINOW-WEDECKI

Martwa natura

Od dawna ulegam martwej naturze,
jej wielkim smutkom
i mowie cieni

czyste,

linii konturu,
posępnej pustce, Zadumie wieków
co wokół zaschła. Powaga bezruchu.

I bluźnierstwem jest,
kiedy mucha niechcący zbłądzi,
rozewnie ciszę na momenty...
i zniknie.

I zbrodnią jest ręki celowy odruch
co mąci nastrój misterny
z owym oddaniem bez reszty
rzeczy martwych.

To cały klimat,
to świat iluzji —
teatr patrzenia
i rozpacz teatru
na małej scenie
stołu
lub krzesła.

Waga porządku zawarta
cały system dźwięków
jasność mowy natury martwej
pozbawionej własnych torów.

HENRYK HARTENBERG

„Szukałem samego siebie”
Heraklit

Ciemny krąg ciszy

Zostawiłam ten martwy krąg ciszy —
Tutaj rozpada się moja radość
I obrazy nabierają koloru rdzy
Jak gniew trzymany w zamknięciu
Tutaj milczenie występuje z brzegów
Zatapiając groby przylutne do ziemi
Tutaj na granicy pustki spłonął mój dzień
I przycichła noc przelewa się w zielonej
studni

Tutaj dogasają nagle gwiazdy
Nastuchując wołania odchodzącego wiatru.
Nie nie zostanę w tej ciszy
„Jak ciemny szum rzeki w pustce
ogromnej” —
Gdy niebo zbliża się pójść szukać siebie.

JAN L. KAROLAK

Z mojej kamienicy

Po podwórkach nie błądzą
jak niegdyś
muzykanci z harmonią, skrzypcami
i Chryzantemy złociste...
Staruszka z przeciwka
z okna

godzinami spogląda w swą młodość
lata czerwonej kokardy
paniejskich szczytów
— wtedy ON przyszedł
był przystojny
Panie świeć nad jego duszą

Zgrzybiała ręka
na kocim grzbiecie pieści wspomnienia
Widzę to ze swego okna
i czasem żałuję, że
nie mogę jej zagrać na katarzynce



ANDRZEJ KRAKOWSKI

Modlitwa

Piękna srebrna
perła
po policzku Ci spływa

Jesteś piękna
gdy płaczesz

Chciałbym umieć płakać
Płaczącego nikt
nie uderzy

Płacząc powiedziałbym
Ci prawdę
Powiedziałbym Ci
że
kap

Blagam naucz mnie
miłości
i prawdziwego
płaczu

Zakopane 27. 12. 1964.

MIECZYSLAWA KAUT

Poszukiwanie
MIODU

Gospodarz dał jej małe,
czerwone jabłka, które obra-
stały gałązki tak, jak mogą
rosnąć porzeczki, a nie jabi-
ka. Potem zrobił jajecznicę
na boczku i pokroił biały,
wiejski chleb na grube krom-
ki. Patelnię postawił na środ-
ku stołu, wyjął z szuflady
duże łyżki i stanął przy
drzwiach. Usiedli po przeciw-
nych stronach i zaczęli z tej
wspólnej patelni jeść.

Stół był prostokątny, ma-
sywny. Janek mówił, że
chciałby mieć taki stół w
pracowni, potem targował się
o cenę jabłek, a gospodarz
pokazywał dyplomy syna —
wiejskiego sportowca.

Wszystko to działo się jak-
by poza nią. Czula smak

tuszczy, chleb zatykający
gardło, przed sobą widziała
dużą, nie nierozumiejącą
twarz Janka, a jajecznicę ro-
sła jej w ustach.

Przyjechali nie w poszuki-
waniu jabłek, lecz miodu.
Wszyscy chłopcy, jakby zmówi-
li się między sobą i nie pa-
trząc w oczy, bezradnie wzru-
szali ramionami. — Nie ma-
my miodu. W jednej tylko
chacie, z dużą kuchnią, w
której rogach jak pęczki ce-
buli, poutykane były dzieci z
jasnymi główkami, gospodarz
przyniósł z piwnicy gliniany
gar. Na dnie zlozila się cien-
ka warstewka miodu. Było go
mniej niż litr, gęsty, scukrzo-
ny. Spróbowali, każdy po jed-
nej łyżce.

Nie patrzyła mu w oczy,
tylko widziała fragmenty je-
go twarzy. Raz nos, raz usta,
raz ucho, albo rękę, jakby
cała jego postać miała w so-
bie coś, co nie pozwalało pa-
trzeć dłużej niż kilka sekund,
bo poraziłoby jej wzrok. Tak
widzi się świat po długiej,
męczącej jeździe na karuzeli.
Jego głos dochodził do niej
raz głośnie, raz ciszej... tak
że nie rozumiała co mówi.
Słyszała tylko pojedyncze sło-
wa.

Samochód budził zaintereso-
wanie wiejskich dzieci. Mimo,
że padał deszcz i było pełno
błota, wychodziły na drogę
i patrzyły szeroko otwartymi
oczami.

Potem zrobiło się zupełnie
ciemno. Blisko pół godziny
stali na kartoflisku. Janek i
kierowca poszli na przelaj,
przez pole, do stojącej na ubo-
czy chaty, gdzie spodziewali
się dostać miód.

Stała przy samochodzie i
chociaż zmarzła, nie wcho-
dziła do środka. Zapaliła pa-
pieroś, który w mglistym
powietrzu, prowadzony ru-
chem jej ręki, migał zygza-
kami, jak świetlik. Miała wra-
żenie, że powoli zapada się
w błotnistą ziemię, że zanim
tamci wrócą, pogrąży się po
szyję. To byłoby lepsze niż
mdałe, chaotyczne myśli,
które tłukły się po głowie —
krótko, dotkliwie uderzające
w mózg motylek: I co? I co
dalej?

Szosa, którą wracali, była
gładka i po błotnistych wie-
jskich drogach, sprawiała wra-
żenie pierwszego stopnia do
nieba. Białe, przydrożne słup-
ki, oświetlone reflektorami
samochodu, wyglądały jak
fosforyzacja. Janek rozmawiał

z kierowcą. Ani razu się nie
odwrócił. Zapomniał o jej
istnieniu, jakby była jednym
z jabłek, którymi wyładowa-
ny był samochód. Tak było
już od kilku dni. Jeśli spot-
kały się ich spojrzenia, to
widziała obce oczy, szare jak
metal. Najokrutniejsza była
naturalność ich chłodu. Nie
widziała co się z nią dzieje,
nie rozumiała. Złoczyła rę-
ce i jakby palcami pieściła
palec, gładziła na przemian
jedną i drugą dłoń. W jej
głowie szalały w popłochu,
kiedyś wypowiedziane przez
niego słowa... lubię twoje dło-
nie, kiedy są takie suche, go-
rące... jakby przebiegał przez
nie prąd.

Po lewej stronie, za rzad-
kim lasem zobaczyła złoty,
płaski jak pieniądz — księ-
życ, który w pierwszej chwi-
li wzięła za zachodzące słoń-
ce. Złudne, niepokojące wra-
żenie, że to nie oni mkną,
zostawiając za sobą nierucho-
me drzewa i księżyc, blisz-
czący stale w tym samym
miejscu, tylko że żywe drze-
wa pędzą w przeciwną stro-
nę, a księżyc płynie naprzód
razem z nimi... i przez cały
czas słodki zapach jabłek.

Coś szarpnęło i zatrzesz-

czało w motorze. Zjechali na
bok i stanęli. Przed nimi był
zakręt i droga biegła w dół.
Wysiedli. Janek wyjął la-
tarkę i świecił kierowcy, któ-
ry podniósł maskę, a potem
położył się pod samochodem.

Poszła kilka kroków na-
przód. Droga przejeżdżała
auta. Widziała je najpierw z
prawej strony, przed zakre-
tem. Jedno światło, dwa, po-
tem gineły na chwilę, wjeżd-
żały na zakręt pod górę i
mijały ją już z lewej strony,
a prosto w twarz uderzał stru-
mień powietrza. Oddaliła się
jeszcze kilka kroków. Zza
podniesionej maski mężczyź-
ni nie byli widoczni. Wiatr
zagłuszał ich słowa, a tym
bardziej jej kroki, mimo to
szła na palcach, coraz bli-
żej lewej strony szosy. Zno-
wu obejrzała się za siebie.
Tamci jej nie widzieli. Z pra-
wej strony pojawiło się no-
we, podwójne światło. W
popłochu zastanawiała się jak
to powinna zrobić, czy poło-
żyć się, czy klęknąć, tak że-
by z nadjeżdżającego samocho-
du jej nie zauważyli. Zamknę-
ła oczy. Wiedziała, że lada
moment pojawi się przed nią,
prosto przed nią...

Poczuła silne szarpnięcie do

tyłu. Nogi ugięły się pod
nią, nawet nie pomyślała —
to już i w ułamek sekundy
potem ostre, piekące uderze-
nie w twarz, a tuż przy niej
silny podmuch powietrza.
Przytrzymała ją jakieś ręce
i znowu płaskie uderzenie z
drugiej strony twarzy. Za-
dzwoniło jej w uszach, jakby
coś miało w nich popekać,
popłatać się i otworzyła oczy.
Nad sobą, na krótki moment
zobaczyła oczy, potem nos,
usta, kawałek szyi Janka.
Trzymała ją za ramiona jak
ociekającą z wody koszulę.
Potem nadal jedną rękę przy-
trzymując, drugą popychał ją
w kierunku samochodu. Kie-
rowca otworzył drzwiczki, a
Janek wepchnął ją do środka
tak, że głową uderzyła w
przeciwnie drzwi. Sam usiadł
z przodu. Samochód ruszył.

Pierwszy odezwał się kie-
rowca. — Ta gałąź musiała
się wplątać jeszcze na drodze
we wsi.

— We wsi, cholera — pow-
tórzył Janek.

Oblizła słone od łez war-
gi. Od uderzeń piekły ją mo-
kre policzki.

— A jednak widział, wszy-
stko widział — myślała.

Nad „Świętokrzyskim polonezem”

Wiesław Jażdżyński ogłosił do tej pory pięć książek. Najnowsza „Świętokrzyski polonez”, jest jego książką szóstą z kolei i — powiedzmy od razu — książką najlepszą. Widzę olbrzymią różnicę między tym co Jażdżyński pisał do niedawna a tym, co zaprezentował obecnie. W „Okolicy starszego kolegi” czy w „Nie ma powrotu” gładki opis graniczy niejednokrotnie z powierzchownością, a potoczna narracja omija „mroczne głębie i najeżone rafy”. Tu, chyba po raz pierwszy, do niewątpliwych umiejętności snucia narracji doszło pogłębione widzenie rzeczy, wzbogacone trafnie dawkanym nastrojem nierzadko podawanym w sposób prawdziwie poetycki.

Do zalet powieści zaliczyć należy osadzenie jej akcji w konkretnym pejzażu. Jan Parandowski w „Alchemii słowa” gani tych pisarzy, którzy unikają konkretyzacji czasu i miejsca swoich utworów. Wiesław Jażdżyński uczynił maksimum w tym zakresie. Jego bohaterowie obracają się na terenach znanych nam z geografii, miejscowości noszą nazwy autentyczne, nie zmyślone. Sądzę, że dzieje się tak wtedy, gdy autor zna doskonale swój materiał powieściowy i nie widzi potrze-

powieści, towarzyszy typowemu inteligentowi, jakim jest Justyn Swoszowski, drużgi bohater — produkt nowych czasów, porucznik (a później kapitan) Jabłoński. Swoszowski ma za sobą „kinderstube”, dobre warunki, wychowanie i wykształcenie. Porucznik nie ma tego wszystkiego, ale imponuje Swoszowskiemu, czym innym: śmiałością decyzji, choćby nawet uproszczonej, zaangażowaniem, jasnym widzeniem rzeczywistości. Porucznik zażądał Swoszowskiemu wiedzy i towarzyskiego obycia. Swoszowski zażądał porucznikowi, że wie on, czego chce. Swoszowski wyznaje: „Skąd ja mogę wiedzieć, jak będzie z nami? Na tym właśnie polega mój pech, że nigdy nie wiem”. Na innym miejscu Swoszowski wręcz się biczuje: „Wiem, że mam podły charakter”. Swoszowski wciąż analizuje siebie, swoje słowa i swoje czyny. Porucznik działa i nie rozdziela włosa na czworo. Można by zaryzykować twierdzenie, że bohater „Świętokrzyskiego poloneza”, to synteza Swoszowskiego i porucznika. Obaj są nieodłączni jak człowiek i jego cień.

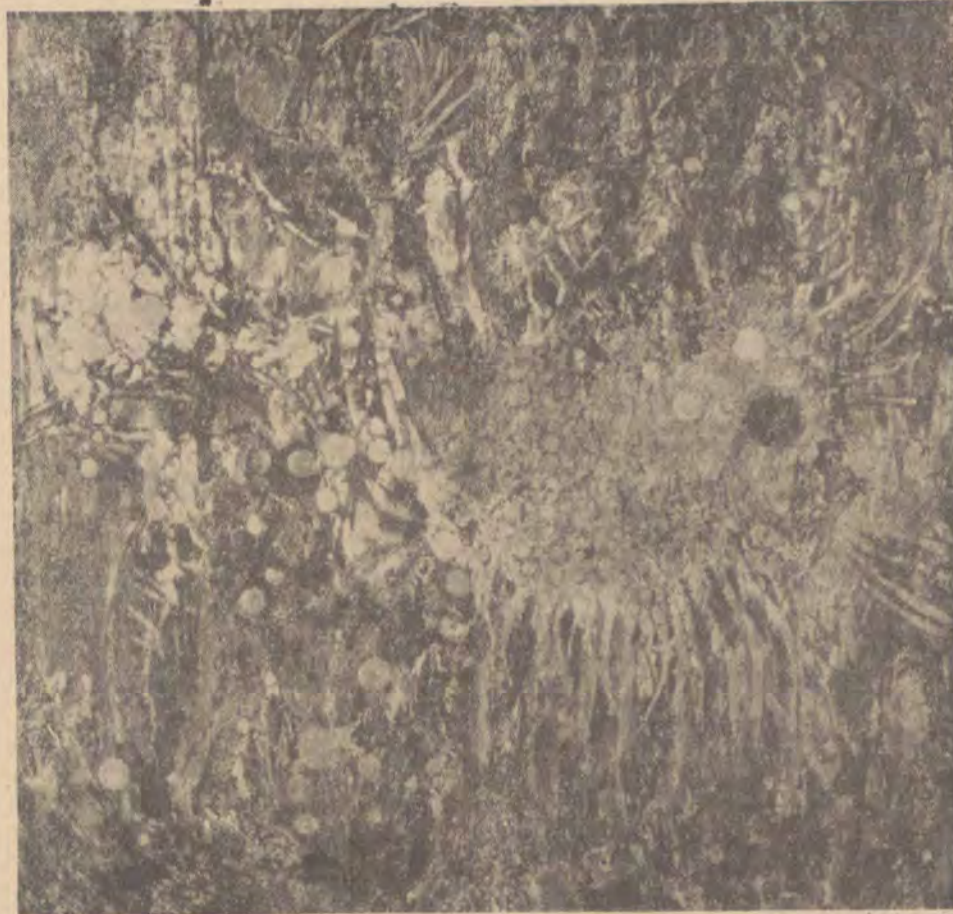
Ale choć są to postacie prowadzące, nie są to postacie powieści jedyne. Jest ich w „Świętokrzyskim polonezie” wiele, a niektóre z nich należą do szczególnie udanych. Przede wszystkim: matka Swoszowskiego, kobieta, której jedynym celem życiowym było dbać o kogoś, opiekować się nim. Dobrze, pocziwne matczyne, nie jest zadowolone z Justyna, czeka wciąż na powrót drugiego swego syna, choć instynkt matczynej podpowiada jej, że już go nie zobaczy. Bardzo ciepła postać — ta matka. Plastyczne i zróżnicowane są dwie inne jeszcze kobiety: Iza i Madame. W obydwu podkochuje się Swoszowski, ale nie z tej jego miłości nie wynika. To pogłębia w nim poczucie pechowca. „Nigdy nie umiałem dobrze przewidywać, to jest jedna z najprzykrejszych stron mojej pechowej natury” — powie o sobie przy jakiejś sposobności.

„Świętokrzyski polonez” napisany został w pierwszej osobie. To właśnie Swoszowski, bohater i zarazem narrator powieści, opowiada dzieje swojego domu rodzinnego, dzieje okupacji i nade wszystko, dzieje pierwszych lat po wojnie. Lat burzliwych, niełatwych, pogmatwanych, jak to jest możliwe chyba tylko w tym kraju.

Książkę prześwietla poezja i humor. Tak, właśnie humor. Mało go w naszej literaturze powieściowej. Humor Wiesława Jażdżyńskiego dwójakiego jest rodzaju: słowny i sytuacyjny. Śmiejęmy się ze swobodnego stylu, jakim przemawia Major, z mowy Parzywody, ale także z opisów zebrań i uczt, z prawionych lekką ironią. Ktoś kiedyś powiedział, że cechą charakterystyczną literatury polskiej jest jej ponurość. Otóż niczego takiego nie można zarzucić omawianej tu powieści. Jest ona pisana lekko w tym dodatnim znaczeniu tego słowa. Ilekto to nie znaczy gładko i powierzchniowo. Znaczy to po prostu, że autor nie przekroczył granicy komunikatywności, że zachował umiar w materii stylistycznej i językowej.

Przeczytałem powieść Jażdżyńskiego z przyjemnością i z tą dozą sympatii, która zwalnia mnie od mówienia o słabych partiach utworu. Niechaj zajmą się nimi inni krytycy. Mnie przypadł w udziale przywilej pochwalenia tego, co w powieści dobre i udane.

Wiesław Jażdżyński: „Świętokrzyski polonez”, Czytelnik, Warszawa 1965, str. 288.



JAN CZARNY

Malarstwo LENY KOWALEWICZ

Uwagi zwiedzających wpisane do księgi na wystawie kompozycji Leny Kowalewicz mówią nam o tym jednoznacznie, że prace tej utalentowanej malarzki przypadły do gustu szerokiej publiczności, mimo iż nie należą one do malarstwa typu przedstawiającego. Świadczą o tym, że to nie tylko o autorce obrazów, ale i o na-

szej łódzkiej publiczności, niedocenianej częstokroć, która, jak się okazuje, potrafi poznać się również i na rzeczach subtelnych i wyrafinowanych. Piszę tak, bo chyba do tej kategorii sztuki zaliczyć należy kompozycje Leny Kowalewicz zaprezentowane ostatnio w salonie CBWA.

Na ten stan rzeczy złożyło się wiele elementów natury formalnej i merytorycznej, ale przyznać muszę, że ustalenie rodowodu tych obrazów przysparza krytykowi niemało kłopotu.

Zaczniemy od początku. Leny Kowalewicz wyszła z kręgu uczniów Strzemińskiego. Grupa tę bardzo luźno z sobą związaną, złożoną z różnych niezależnych od siebie indywidualności, łączyły dwie wspólne cechy: kultura osobista i jego idea malarzka, i, co za tym idzie, dbałość o kompozycyjną i strukturalną stronę obrazu (unizm).

Trudno dopatrzeć się dzisiaj w obrazach Leny idea malarzki Strzemińskiego, ale pozostało z nich właśnie

to, co jest bardzo istotne dla współczesnego malarstwa — widzenie obrazu jako całości strukturalnej i dbałość o tzw. materię malarzką obrazu.

Te uwagi byłyby ważne dla teoretyka, chcącego znaleźć związki i powiązania z istniejącymi ciągami kulturowymi. Nie bez znaczenia będą tu również podróże artystyczne Leny, a zwłaszcza jej ekskursje malarzkie do Włoch i do Paryża. Im to częściowo przypisać można refleksyjność i dużą kulturę malarzką tych płócien.

Dla zwykłego zaś widza kompozycje te mają nieodpartą wdzięk i liryczność, bo we wszystkich okresach malarstwa Leny było muzyczne, artystowskie, miękkie na sposób kobiecy, ale jednocześnie i drapieżne.

Zawieszone na wystawie obrazy nawiązują do trzech etapów twórczości Leny Kowalewicz, zajmujących okres niemal piętnastoletni. W rozpatrzeniu tych etapów pomaga nam retrospektywne rozmieszczenie płócien. Pierw-

szy okres — będą to kompozycje strukturalne w oparciu o studium natury. Drugi okres — elementy biologiczne w oderwaniu od studium natury, ale będące jeszcze jej przetworzeniem i trzeci okres — kompozycje strukturalne nie mające już żadnego związku z bezpośrednim widzeniem natury.

Może to brzmieć paradoksalnie, ale właśnie te ostatnie prace, związane z obecnym okresem twórczości Leny, brzemienne są w największą ilość podtekstów, są najdorzeczniejsze i chyba najbardziej realistyczne (jeśli tym epitetem obdarzyć można płótna zaliczane stereotypowo do „abstrakcyjnych”). Można bez przesady powiedzieć, że obrazy te wprowadzają nie przedstawiają natury i jej żywiołów bezpośrednio, ale same są naturą i żywiołem. Bo w nich kompozycje strukturalne Leny przypominają nam wiele, jeśli już komuś nie wystarczy sama ich treść malarzka. Asocjacji można znaleźć w malarstwie tego rodzaju cały szereg — a więc struktura kory drzewa, tkanki roślin, procesy erozji, niebo pokryte chmurami, wzburzone morze, ziemia, piasek, oszroniony dach, spleśniała deska, metal pokryty rdzą.

Malarstwo tego typu posługujące się strukturami, jeśli nie jest wręcz podpatrzeniem struktur występujących w naturze, to na pewno jest przez naturę inspirowane. W historii sztuki ma ono dziś już swoją kartę, choć na naszym gruncie nie jest zbyt często uprawiane. Jeśli kogoś interesowałyby tradycje tego typu myślenia plastycznego, wystarczyłoby wskazać na Utrilla (osypujące się ściany jego domów) i Dubuffeta malującego portrety ziemi, próchnicy i wizerunki murów i płotów. Ale malarstwo Leny jest zupełnie odrębne i z tymi obrazami spokrewnione jest powinowactwem bardzo dalekim. W kompozycjach Leny Kowalewicz góruje, pozbawiona smutku i ciężkości, refleksyjność, skwitowana w sposób poważny, ale jednocześnie pogodny, jak gdyby rozgłaszający świat i ludzi. I chyba właśnie ten pogodny klimat płynący od płócien Leny Kowalewicz ta jej swoista filozofia, stanowiąc o tym, że wystawa jest tak chętnie uczęszczana, i że obrazy te, chociaż nie ma na nich ani kwiatków, ani koników, naprawdę szczerze podobają się szerokiej publiczności.

Nad czym pracują pisarze



ZYGMUNT FIJAS

My, tak zwani twórcy tak zwanych małych form, współpracujący z prasą satyryczną i nie-satyryczną, z radiem i nie-radiem, nie musimy się spowiadać przed publicznością, ze swych literackich zamierzeń i osiągnięć. Czytelnicy miewali nas od roku 1945 i do tego czasu wciąż mają na swym konsumpcyjnym stole, jak na talerzu. Rola literata wraz z wynalazkiem filmu, radia i telewizji zmieniła się przecież. Pisarzem nie jest tylko ten, co jak Józef Balca, Walter z Vogelwajdy, czy niemiecki piszący szewc — Hans Sachs, ma po kilkanaście tysięcy wierszy w dorobku, lecz także ten co nie ma wydrukowanych dwudziestu czterech książek. Jakimś twórcą przecież — w tradycyjnym tego słowa znaczeniu — jest pisarz np. filmowy, co jego praca tworząca nie da się dokładnie wymierzyć, bo jest częścią tego niezliczonego

początku aktów twórczych — i reżysera, i jego innych twórców pomocniczych, słowem kolektywu, wydającego w swym ostatecznym akcie plodzenia to, co określamy mianem: skończony film? Jakim pisarzem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu jest autor felietonów, dziś mających swą moc aktualną, a jutro — nie? Co możemy powiedzieć o powieści dziennikarskiej, która niby tak „powieściat” jest, a właściwie nią nie jest, bo brak jej odpowiedniego literackiego dotarcia,

sa doleżał się wreszcie drugi z kolei mój zbiór „O szkodliwości komiów”. Nie jest nigdzie powiedziane, że nie mógłbym skompletować trzeciego i czwartego zbioru tego rodzaju rzeczy rozsiewanych przez mnie w prasie, radu etc. gesto w ciągu dwudziestolecia, a niedoszłoflowanych do dotychczas do druku, bo nie przywiązywałem wagi do niektórych mych utworów, czego dziś żałuję. Dla informacji pragne powiedzieć, że ostatnia moja książka walczyła z wieloma trudnościami aż w trzech wydawnictwach. Wreszcie doczekała się druku, co dobrze świadczy o dzisiejszej linii, jak i o łódzkiej władzy wydawniczej.

Przed miesiącem złożyłem tom miniatur i miniatur pt. „Z notatnika prowincjusza” w pewnym warszawskim wydawnictwie. Złożyły się na nią utwory drukowane w przedwojennym krakowskim „Naszym Wyrazie” (o tym piśmie Artur Sandauer w „Zapiskach z martwego miasta”), łódzkiej „Kronice”, „Łódź Literackiej”, przedwojennych łódzkich „Wymiarach”, „Odgłosach”, przedwojennym warszawskim „Płonie”, „Odrodzeniu” i „Twórczości”.

Złoży i inne propozycje, ale gdzie i jakie, o tym na razie: szal... Nie należę do kwok, gdańczyków przed każdą nową książką, jak niektórzy literaccy kwocy. Równocześnie chciałbym się dorwać wraz z wieloma innymi moimi kolegami do takich dojdnych instytucji, jak radiowe imprezy estradowe, „Estrada” itd., żeby móc je po-

ciągnąć za wymioną — i przemówić — przy pomocy tych instytucji do prowincjonalnej publiczności, która nawet nie wie czy istnieje. Sądzę, że istnieją tylko ci, co grają na wymionach tych instytucji na cztery ręce. A niekiedy także i na nogi.

LEON GOMOLICKI



Nie piszę w przyspieszonym tempie, jak inni koledzy, którzy mogą pochwalic się wydaniem dwóch — trzech książek na raz. Jedną książkę rocznie to moja górna granica. Więc i mój rachunek jest prosty. Ostatnio wydane książki? Raczej książka — powieść „Kiermasz” ukazała się na jesieni ubiegłego roku. Nad czym pracuję? Właściwie już skończyłem powieść, tytuł — „Owoc z grypszanem”. Czy mam coś w planach na przyszłość? Owszem, po kilku powieściach pisanie staje się nalożeniem. Ale o książkach dopiero zaplanowanych nie umiem mówić.



Wiesław Jażdżyński w karykaturze S. Gratkowskiego

by uciekania się do animowalności miejsc i wydarzeń. Piśnicy te słowa pamięta dobrze tereny akcji „Świętokrzyskiego poloneza”. Przemierzał je niejednokrotnie, obecnie przemierzył je raz jeszcze na kartach powieści Wiesława Jażdżyńskiego.

Bohaterem utworu jest Justyn Swoszowski, w czasie okupacji partyzant i nauczyciel ludowy, później — student socjologii i redaktor pisma wydawanego w Łodzi. Justyn Swoszowski, syn pułkownika sanacyjnego, cierpi na chorobę nie obcą polskiej inteligencji: hamletyzuje, ma wątpliwości, opiera się na ciskowi nowej sytuacji. „Po- szedłem na wojnę, w naszej rodzinie wszyscy mężczyźni w każdym pokoleniu chodzili na wojnę” — mówi Swoszowski i znajdujemy w tym wyznaniu jakiś znamieny rys „losu polskiego w ogóle”. Przyszłość bez przerwy wkracza w powojenne dzieje młodego Swoszowskiego. Ale od razu, od pierwszych stron

Książki nadesłane

Henryk Cała — „ROZKUWA-NIE ZIEMI”, WL, cena zł 10.
Krystof Coriolan — „MUZYKA W DREWNI”, WL, cena zł 10.

Antoni Korzycki — „ZAPISKI MEKSYKANSKIE”, LSW, cena zł 10.

Walentina Najdus — „LENIN I KRUPSKA W KRAKOWSKIM ZWIĄZKU POMOCY DLA WIEŻNIÓW POLITYCZNYCH”, WL, cena zł 22.

Per Wästberg — „NA CZARNEJ LIŚCIE”, Iskry, cena zł 30.

Stanisław Wasylewski — „ZERWANA KOKARDA”, WL, cena zł 10.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa — „KOLOROWE GWIAZDY”, WL, cena zł 15.

„OSTATNIA STACJA” w Teatrze Jaracza

Sztuka Ericha Marii Remarque'a nie jest rewelacją, choć niewątpliwie napisana jest dobrze. Prozaik ujawnił wyraźny nerw dramatyczny i możliwe jest, że nie po prostu na tej jednej sztuce. „Ostatnia stacja” nie jest więc rewelacją ani pod względem formy (rozgrywa się w konwencji realistycznej), ani pod względem doboru konfliktów i zdarzeń oraz nade wszystko, autorskiego do nich komentarza. Jest relacja, nie przeżycie, i może dlatego nie niesie z sobą owego dreszczu głębokiego poznania właściwego twórczości prawdziwie wielkiej, niezależnie od poruszanej tematyki. Tematyka „Ostatniej stacji” przywodzi na myśl sztuki Kruczkowskiego, „Niemców” i „Pierwszy dzień wolności”, i traci na tym porównaniu. Nie wnosząc nic nowego do naszej wiedzy o wojnie, obozach koncentracyjnych i Niemcach, ociera się o banal i melodramat. Jest przede wszystkim sztuka sensacyjna i jako taka, przy pewnej zmianie realiów, mogłaby się rozgrywać na innej płaszczyźnie, w innym czasie i miejscu. Mogłaby, gdyby nie incydent z Kochem i gdyby nie huśtający się za oknem powieszony za dezerację feldfelbel. Te dwa momenty

przydają utworowi, jeśli tak wolno powiedzieć, koloryt lokalnego, niesławnego upadku III Rzeszy.

Incident z Kochem jest wstrząsający. Podwójnie. Poprzez mekę człowieka i jego bohaterstwo. Uciekinier z obozu, niedomęczony Żyd, nie zdradza współtowarzysza ucieczki, chociaż obiecuje mu za to życie. Powoli wodzi wzrokiem po twarzach esesmanów, dwóch kobiet i tamtego, który jest tuż, ale któremu przebranemu w mundur majora Wehrmachtu, prawdopodobnie uda się uratować. Zygmunta Nowicki rozgrywa tę scenę oszczędnie i przejmująco. Jest to scena bardzo dobrze napisana i aktorzy wydobywają z niej wszystko. Nieuchome spojrzenia Anny i Rossa. Groza śmierci niemal namacalna. Absolutna cisza na widowni. Oto sukces reżysera, wykonawców i teatru.

Przedtem, z chwilą wejścia esesmanów, poszukujących uciekinierów z obozu, rozpoczyna się gra podwójna, redziej teatru w teatrze. Anna udaje ładaczkę. Ross — jej pijanego kochanka. Stawką jest życie obojga. Alina Kulikówna brawurowo awanturuje się, neglując, polizkuje Rossa. Anna mówi, że to nie dezert, to ranny, dochodzący do szpitala na opatrunki. Ross ma rękę zawiniętą bandażem, który skrywa obozowy numer. Esesman Schmidt prawie w to wierzy, lub raczej udaje, ten podejrzany oficer bezdnie mu jeszcze potrzebny, ale wtedy przyprowadzają schwytanego Kocha i każą mu się przylgnąć twarzą do obcych.

Akt II (i ostatni) zawiera silny ładunek komizmu. Bardziej chyba dzięki Jerzemu Przybylskiemu niż autorowi. Jerzy Przybylski jako esesman Schmidt w cywilu jest nieodparcie śmieszny. Publiczność się śmieje i to jest dla niej potrzebny odprężenie. Śmieje się także z Grety, ale tę postać autor wyposażył wyraźnie w rysy satyryczne. Barbara Wałkówna bardzo dobrze czuje się w tej charakterystycznej roli, tworzy sylwetkę kumoszki soczystą i pełną. Satyrę użył więc autor jako narzędzie ośmieszenia zbrodniarzy

i jako odprężenia dla widza. Świadczy to o tym, że zna jego wartość i możliwości w momentach najbardziej dramatycznych, które swój drugi punkt kulminacyjny osiąga w chwili wejścia żołnierzy radzieckich: zbieg z obozu jest w mundurze niemieckiego oficera, gestapowiec — w cywilu i z papierami więźnia politycznego. W sposób niezbyt uprzedopodobiony rozstrzyga sprawę rzeczywistej ich tożsamości radziecki pułkownik, któremu Feliks Zukowski przydał rysy spokojnej szlachetności.

Banal i melodramat, o którym wspominałam, tkwią więc w tzw. wątku uczuciowym, w dłużyznie zakończenia i w komunałach, które wypowiadają Anna i Ross. Naiwne jest również owo kończące sztukę śpiewanie kolysanki nowonarodzonemu dziecku. To dziecko symbolizuje, oczywiście, „nowe życie”, odrodzenie niemieckiej ojczyzny autora. — Po co się urodziło — mówi Anna — na nową wojnę? — To jest właśnie komunał, którego nie powinno się wypowiadać ze sceny. Widz powinien pomyśleć to sam. Ale autor „Na Zachodzie bez zmian” przedstawił okrutniejszą wojnę w sposób mniej okrutny. Sztuka kończy się happy-endem, lecz my nie jesteśmy przyzwyczajeni do happy-endów w utworach o tego rodzaju tematyce. Wydają się nam nieprawdziwe, zwłaszcza gdy reżyser nie tuszuje sielankowości sytuacji i nastrojów. Dwoje zakochanych, którzy umknęli śmierci w sposób niezupełnie udokumentowany (końcowe sceny II aktu), tuli się do siebie. Są cali i zdrowi, jak bohaterowie westernu. A ta konwencja jest daleka życia. Przy tym w owych scenach miłosnych widoczne jest niezdecydowanie reżysera. Są nieciekawe i ważne, stanowią odrębną wartość, ale tej wartości nie przydał im także aktorzy. Alina Kulikówna i Krzysztof Chamiec, ten ostatni tak zawsze prawdziwy i trafiający w sedno charakteru postaci, także i w roli Rossa, tutaj niezupełnie osiągały szczytów wyrazu. Być może sceny miłosne są najtrudniejsze do zagrania.



Barbara Wałkówna i Alina Kulikówna w „Ostatniej stacji”

„Ostatnia stacja” Remarque'a jest pierwszą pracą reżyserską Jerzego Wałczaka. Znakomity aktor, twórca roli Artura Uj, otrzymał do ręki materiał będący niemal (tak się wydaje z zewnątrz) „samograjem”, ale z drugiej strony nie dający pola do popisu reżyserskiej inwencji. Niektóre wrażenia odnośnie warsztatu młodego reżysera zostały już wypowiedziane, należy więc jeszcze dodać, że w sferze koordynacji działań, obrazów i dźwięków nie znał ręki nowicjusza.

Sztuka została pokazana na tegorocznych Kaliskich Spotkaniach Teatralnych.

P. S. A może by jednak któryś z łódzkich teatrów, albo właśnie Teatr im. Jaracza, kontynuujący tematykę II wojny światowej wystawił „Niemców” Kruczkowskiego? Dla dobra młodzieży szkolnej.

Teatr im. St. Jaracza: „Ostatnia stacja” Ericha Marii Remarque'a. Przekład: Juliusz Strojnowski. Reżyseria — Jerzy Wałczak, scenografia — Józef Rachwański.

LECH PIJANOWSKI

Najlepszy z możliwych

Film jest zdolny skutecznie i ciekawie dokumentować nie tylko sprawy ludzi: konflikty, psychologię, uczucia, myśli, całą zmienność indywidualnych bohaterów — film potrafi także nie od dzisiaj interpretować i sprawy świata nie tyle może bardziej zawile, co na pewno leżące na innych płaszczyznach: od opisu etnograficznego poprzez społeczno-krytyczne studia z takich dziedzin, jak socjologia czy historia aż do spraw polityki.

Wiadomo, że najczęściej i najlepiej czynią to setki filmów dokumentalnych, cała odrębna, obficie rozrośnięta gałąź sztuki filmowej. Czwórek współczesny jednak wciąż czony jest tak trwały i tak głęboko w tak wiele różno-

rakich procesów, mówiąc ogólnie „pozapychologicznych”, że i film fabularny, tropiący ludzkie sprawy, nieraz interesuje się z dobrymi wynikami tematyką i szerszą, i inną niż jednostkowe losy bohaterów.

Sądzę, że w tej strefie pogranicznej, pomiędzy tradycyjnym filmem fabularnym (tradycyjnym w sensie: opowieść o określonych ludzkich losach), a filmem dokumentalnym, dzieją się we współczesnej sztuce filmowej świata sprawy ważne i godne szczególnej uwagi.

To ogólne przekonanie bardzo konkretnie potwierdza amerykański film reżysera Franklina Schaffnera, oparty o sztukę Gore'a Vidala, „Ten najlepszy”. Jest to — od strony fabularnej tradycji — opowieść o jednoczesnym klęsce dwu zwalczających się wzajem konkurentów, z których żaden nie wygrywa. Jest to jednocześnie — od strony faktów dokumentalnych — film bezpośrednio polityczny, relacja z konwencji jednej z amerykańskich partii politycznych, która ma wybrać kandydata na prezydenta USA.

Nazwiska Kennedy'ego i Goldwatera, Johnsona i Nixona ani razu nie padają w

filmie. Partia polityczna, w której obradach uczestniczy, nie została nazwana (najbardziej tylko pedantyczny widzowie zdolają nazwę tej partii, pojawiającą się raz tylko w tle, na plakacie wywieszonym na ścianie, zauważyć: zwie się „Partią Wolności” — „Liberty Party”). Te i podobne zabiegi nie są w stanie nadać tematowi filmu i jego akcji rangi fikcji, nie o to zresztą szło, jak myślę, twórcom filmu, gdy zabiegi takie wykonywali; raczej należało i demokratów, i republikańców przekonać, że nie o nich rzecz idzie. Film zajmuje się bowiem nie tym, co różni poszczególne kręgi, siły i grupy w amerykańskiej polityce, lecz tym, co je wszystkie łączy: atmosferę działania politycznego w USA, wybuchową mieszaninę błazńskiego cyrku, gladiatorów i gryzów, nacisków, szan, żądz, koterii...

W najbrudniejszych sprawach po czubek nosa unurzani są obydwa najważniejsi kandydaci na prezydenta: i ten, który działa brutalnie, obiecuje ze świadomością, że niegdyś nie wykona i traktuje politykę jak pokorową rozgrywkę, i ten, który reprezentuje jakiś poziom moral-

ny i intelektualny. Ten drugi (znakomicie zagrany przez Henry'ego Fondę) musi się w pewnym momencie gry wycofać; by nie upaść miejsca zdecydowanie gorszemu, wysuwa na swoje miejsce kandydata, o którym nikt dotąd nie myślał, i którego jedyną kwalifikacją jest brak wszelkich kwalifikacji i określonego

Film

oblicza. Ironiczny tytuł filmu sprawdza się — ten właśnie, „najlepszy”, będzie kandydatem na prezydenta.

Twórcom filmu udało się bezbłędnie połączyć i nierozdzielnie ze sobą spleść osobiste cechy, sprawy i losy dwu głównych bohaterów filmu z ogólnym tematem, który jest demaskacyjnym reportażem o funkcjonowaniu aparatury rządzenia w USA. Wynik jest świetny: pasjonujący film, który w drama-

tycznej formie celnie wzbogaca wiedzę o świecie.

Jednego tylko pytania twórca filmu nie odważył się postawić, nie mówiąc już o próbie odpowiedzi na nie: jak wyglądał i w jaki sposób jest manipulowana przez fałszywców bez skrupułów szara masa zwykłych ludzi, prostych Amerykanów, wyborców... „Ten najlepszy” dzieje się w świecie zawodowych polityków i w przynależnym doń światku dziennikarzy, sprawozdawców, reporterów telewizyjnych, macherów organizacyjnych. Ludzi, których na tym tle trzeba by chyba nazwać normalnymi, film w ogóle nie ukazuje.

Nie jest to, jak myślę, przypadkowy błąd, lecz raczej wykalikulowana mądra ostrożność twórców filmu. W izolowanym świecie polityki, w dzungli nieczystych chwytów i demagogii panują prawa, które przyłożone do normalnego świata, ujawniłyby się jako coś nieprzystającego i nie do wytrzymania; taka konfrontacja byłaby zbyt już wybuchowa merytorycznie i może nawet zbyt trudna formalnie. Twórcy filmu ograniczyli więc nie ostrość, lecz kat swego spojrzenia, zaprezentowali widzom coś w rodzaju sku-

tecznego preparatu klinicznego w uzasadnionej nadziei, że każdy z oglądających film przymusi jego wymowę do swoich własnych zaangażowań i poglądów, do swojej prywatnej, małej praktyki w dziedzinie wielkiej polityki.

Twórcy filmu są realistami nie tylko w sztuce, także w polityce (autor scenariusza, Gore Vidal, w swoim czasie kandydował w Stanach na senatora i przepadł w wyborach — wiele więc „chwytów” dramatycznych swego filmu mógł zaczerpnąć z życia) — przedstawiają sytuację, nie proponując jej rozwiązań, których nie widzą, i których nie ma; zdobywają się nawet na przewrotny nieco optymizm stwierdzając, że, być może, wybrany ostentacyjnie, niaki kandydat nie okaże się — wskutek tej właśnie niakości — najgorzej, może wszystko się jakoś uładzi...

Najbardziej realistyczny i jednocześnie najsmutniejszy jest ten właśnie optymizm. Ten ludzki akcent w nie-ludzkim filmie okazuje się czymś najbardziej przejmującym — i „Ten najlepszy” pozostaje w pamięci jako film ciekawy i prawdziwy, choć gorzki, wart obejrzenia i wart refleksji.

POLECA z Książki Kłami

TOM PROZY
BRUNO SCHULZA

Wydawnictwo Literackie ogłosiło tom prozy Bruno Schulza w bardzo pięknej okładce graficznej. Słodka jest na ten tom „Słoneczny cynamonowy”. „Sanatorium pod klepsydrą”, fragmenty prozy, rozproszone zapiski krytyczne oraz listy. Tom poprzedza wnikliwy wstęp Artura Sandauera, a uwagi o epistolografii Schulza napisał Jerzy Ficowski. Jest to więc książka dla miłośników sztuki pisarskiej Bruno Schulza ważna i cenna. „Słoneczny cynamonowy”

nowe” i „Sanatorium pod klepsydrą” znalazły już w wcześniejszych wydaniach. Natomiast z dużym zainteresowaniem przeczytaliśmy niepublikowane wcześniej opowiadania oraz szkice krytyczne i recenzje, a także listy, m. in. do Juliana Tuwima, Ostapa Orłowa, Tadeusza Brezy, Kazimierza Truchanowskiego i innych. Bruno Schulz okazał się wcale biegłym recenzentem i krytykiem literackim. Jego uwagi o „Ferdynandzie Gombrowicza”, o „Cudzoziemcu” Kuncewiczowej, spory esej o Zofii Nałkowskiej, szkice o Mauria-ku, Huxleyu, Bernasie i innych wskazują na bardzo żywy stosunek Schulza do współczesnej mu literatury polskiej i obcej, która się interesowała i o której umiał mówić rzeczy ciekawe.

Zwraca też uwagę styl owych recenzji i krytyk. Styl bardzo osobisty, jasny, często liryczny, a przy tym zwięzły. Bruno Schulz pisał jak poeta, który para się prozą; krótko, precyzyjnie, konkretnie. Z li-

stów wyziera twarz człowieka, zatroskanego o swoją własną twórczość, ale przecież nie nadmiernego egotyka i nie megalomana. Słowem: książka godna naszej pamięci.

J. K.

*) Bruno Schulz: „Proza”, Wydawnictwo Literackie, Kraków, str. 695.

KOMPROMIS POETY

Czesław Kuriata, młody poeta związany z Kossakiem, który w ciągu ostatnich lat zyskał popularność ogólnopolską, wydał w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej opowieść „GALOP DO WIELKIEGO LASU”. Mówi ona o wsi polskiej podczas wojny na Ukrainie, na linii przedwojennej granicy polsko-radzieckiej, o repatriacji i osiedleniu się na Ziemiach Zachodnich, a wszystko to jest widziane oczami kilkunastolatka chłopca, Artura. Jego doznania opowiedziane są zresztą i ładnym językiem, krótkimi, wyraźnie sformułowanymi zdaniem. Totem

tem, gdzie autor mówi o doświadczeniach, obserwacjach i spostrzeżeniach chłopca, udało mu się stworzyć kilka wstrząsających fragmentów. Nieprzekonujące są natomiast te momenty, w których autor przedstawia rzekomo myślenie dziecka. Czytelnik obserwuje wtedy, że autor podstawił dziecięcemu bohaterowi „Galopu” swoje rozwinięte, pełnozdanowe, stylizowane myśli o świecie. To podstawienie osłabia co chwila wiarę w psychologiczny rysunek Artura. Oznacza też, że autor zbyt sztywno trzymał się konwencji surowej i zwięzłej relacji w tych wypadkach, gdy należało wprowadzić nieco nastrojowości i odautorskiego lirycznego komentarza. I to właśnie zadziwia, że młody poeta w tej autobiograficznej opowieści o dzieciństwie tak mało okazał się poetą. Tylko kilka, na szczęście nienagłych, nieprzezroczystych „świadczy”, że Kuriata jako poeta holdował dotąd mało trafnym udziwieniom „no-

woczesnym” i że w prozie skutecznie ruguje, tak że spotyka się w niej tylko ich relikty.

I. T.

*) Czesław Kuriata: „Galop do Wielkiego Lasu”, LSW, Warszawa, 1965.

PEWNA PRZYGODA FILMOWA

Nakładem MON ukazała się książka pisarza najstarszego naszego pokolenia pisarskiego Edwina Jędrkiewicza pt. „Pewna przygoda filmowa”. Ten 75-letni dziś pisarz, który niejako wychował się na tradycyjnych wzorach literackich, debiutował po pierwszej wojnie światowej jako dramaturg, prozaik i poeta. Znamyca ludzi, szczególnie ich złożonej, trudnej do obserwacji psychiki, powściągliwy w słowie, tym razem po raz pierwszy zastosował na własną współczesną konstrukcję powieści, dając do rąk czytelnika bardzo interesujący, wielowarstwowy utwór.

Bohater, mężczyzna oko-

ło pięćdziesiątlatk, poważny, szanujący się obywatel małego miasteczka, który w dniach zawirów wojennej poszedł wypieść swoją obowiązującą obywatelski i brał udział w obronie nie nie znaczącego, ze względów strategicznych, klasztoru — nagle, w 20 lat po tych wydarzeniach, zostaje wciągnięty w swoją wielką przygodę: ma zagrać w filmie samego siebie, plutonowego, który z narażeniem życia usiłuje ratować dowódcę.

Autorowi udało się pokazać jak wygląda konfrontacja przeszłości w oczach człowieka, który ją przeżył i w oczach obserwatora, który ją jedynie osądził. Książka niewątpliwie zainteresuje czytelnika, chociaż miejscami może budzić zastrzeżenia swym stylem, tak charakterystycznym dla autorów starszego pokolenia.

E. L.

Edwin Jędrkiewicz: „Pewna przygoda filmowa”. Wyd. MON, 1965 r. Str. 200. Cena 12 zł.

DZIECKO W TEATRZE

Zacznijmy, stereotypowo: Dziecko to problem na dziś, na jutro, na pojutrze — dla każdej rodziny, dla miasta, dla kraju. W Łodzi wykładowca lektorski tego problemu w roku 1965 ma swolista wymowę: około 36 tys. dzieci w wieku od 3 do 6 lat i ponad 100 tys. dzieci w wieku 7 do 14 lat.

W związku z 20-leciem, które inspirowało do spojrzenia wstecz i w przyszłość, ciągnie mnie i okazję Światowego Dnia Teatru źródła chęć problematiki w kurtynie i spojrzenia na widownię dziecięcą w teatrze.

W ostatnich latach wszystkie łódzkie teatry kładą się silnie widowni dziecięcej, włączając systematycznie do repertuaru sztuki dla dzieci, przygotowywane z coraz większą troskliwością i ambicją artystyczną. Nie więc dziwnego, że w ostatnich miesiącach toczą się poważne dyskusje wśród przedstawicieli na temat talentu i urody Poli Rak-ty i Leona Niemczyka. Są to dyskusje „od święta”.

Na co dzień nasze pociechy rozprawiają z ogniem w oczach o innych bohaterach sztuk teatralnych — o lalkach. Dwa łódzkie teatry lalki „Pinokio” i „Arlekin” mają od kilkunastu lat ustaloną opinie wśród dzieci łódzkich i cieszą się ich

dużym uznaniem. Oba teatry jako jedne z nielicznych w Polsce grają codziennie i prowadzą wolną sprzedaż biletów w kasie, zapraszając jedynie dzieci ulotkami, przez co przyzwyczajają dziecko do samodzielnego wykonywania wszystkich czynności pomocniczych związanych z własnym organizowaniem rozrywki kulturalnej o wysokiej wartości. Dziecko werbuje sobie grupę towarzyszą i przeżywa z nią emocjonalnie każdy pobyt w teatrze. Oba teatry łącznie mogą pomieścić dziennie niewiele ponad 600 dzieci i przygotowują rocznie osiem premier. Gdyby wszystkie dzieci Łodzi w wieku od 3 do 14 lat stanęły w kolejce do kas obu teatrów lalki, moglibyśmy im zapewnić tylko raz w roku miejsce siedzące. Tymczasem jednak takie ograniczenia dzieciom łódzkim nie grożą, ponieważ nie wszyscy rodzice doceniają rolę teatru w życiu dziecka.

Widownia teatru „Arlekin” jest wykorzystana w stosunku rocznym w 73 proc., większość widzów bywa na wszystkich czterech premierach, a nawet przychodzi kilkakrotnie na ulubioną sztukę. Patrząc przez dziurkę w kurtynie obliczamy, że około 15 tys. dzieci bywa w tym teatrze cztery razy w roku. Zostawiam statystykę obliczenia, ile dzieci bywa w

teatrze „Pinokio” i w teatrach dramatycznych w ciągu roku, a ile dzieci zostaje poza kręgiem teatru.

Grana obecnie w „Arlekinie” baśń jugosłowiańska „Rusaleczka” Wojmilla Rabadana jest pięćdziesiątą ósmą z kolei premierą i cieszy się dużym powodzeniem.

Większość sztuk w teatrach lalki, tak jak „Rusaleczka”, wciąga dzieci bezpośrednio do współdziałania w akcji sztuki. Konwencja teatru pozwala bohaterowi sztuki widzieć dzieci na widowni, rozmawiać z nimi, prosić je o pomoc. Oddziaływanie teatru na kształtowanie postawy i charakteru dziecka odbywa się tu nie tylko przez identyfikację widza z bohaterem, ale i przez bezpośredni udział w kształtowaniu losów bohatera. Reakcje dzieci są różnorodne na tym samym spektaklu: ujawniają się jednorazowo, w słowie, w emocjonalnym szepcie lub krzyku, w nakazach i zakazach pod adresem osób działających na scenie. Lalka żyje pełnym życiem scenicznym, ulega widowni, dziecięcemu lub mu się opiera, narzuca mu swoje smutki i radości, wciąga go w swoje perepety, w zabawę. Dzieci reagują odmiennie od większości widzów, korygują czasem szybko swoje reakcje i wciągają się do ogółu, czasem uparcie aż do łez reagują odmiennie do końca spektaklu. Wydaje się, że bezspornie wielki wpływ reżysera, plastyka, muzyka i aktora na dziecko w teatrze lalki, na kształtowanie się postawy i charakteru dziecka, na formowanie się jego światopoglądu, powinien bardziej uwrażliwić rodziców i pedagogów, jak również i ludzi odpowiedzialnych za wychowanie młodego pokolenia w naszym mieście. Każde dziecko w tym teatrze, do którego miasto dopłaca trzy razy tyle, ile płać ma widzowie, powinno być wykorzystane. Aktywności Frontu Jedności Narodu, członkowie Ligi Kobiet i TPD, wszyscy działacze społeczni, którym sprawy naszego miasta i poziomu kulturalnego naszych dzieci nie mogą być obojętne — powinni zatroszczyć się o pełne wykorzystanie miejsc czekających na dzieci. Waga problemu wymaga jednak chyba nie tylko troski o poszerzenie kręgu odbiorców teatru dla dzieci, ale i szerszej dyskusji wśród łódzkich twórców nad repertuarem teatrów lalki, nad jego realizacją, nad warunkami pracy aktora-lalkarza i warunkami lokalowymi „Arlekinu”, który już siódmy rok z szeregiem rozdarta na trzy części umieszcza się daleko od dzieł i uczy je radości życia. Byłoby również pożądaną, aby wśród łódzkiego świata nauki podjąć dyskusję w sprawie kręgu specjalistów i obserwacji nad percepcją sztuki teatralnej przez dziecko. O ile film i telewizja mają już w tym względzie zaczątki literatury, o tyle teatry lalki dysponują jedynie wyników obserwacji osób bezpośrednio uczuciowo zaangażowanych — twórców teatrów lalki i realizatorów spektakli.

Lalka, zrodzona w odległych historycznie i kulturowo epokach, towarzyszy dziecku współczesnemu w jego codziennych sprawach, idzie z postępową nauką i techniką, przyjmuje wszelkie tworzywa i podporządkowuje je celowi artystycznemu, wypowiada człowieka czasem lepiej niż jego otoczenie, nie w swych możliwościach ciała, opiera się czasowi, pobu- dza do łez i do śmiechu, jest bezwzględna w stosunku do aktora, który ją ożywia swoim życiem pozostając w ulicy przed widzem; a nasze dziecko wprowadzone w czarodziejski krąg teatru lalki promienieje, wzbogaca się duchowo, uwalnia się i marzy o tym, żeby stworzyć świat lepszy i piękniejszy, posłuszny, wrażliwy, dziecięcemu serduszk.



Jerzy Urbanowicz — inoryt.

O DOKTORZE DWORZACZKU I ŚMIESZNOŚCI

Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na próbę zinteretowania przeze mnie postawy dra Dworzaczka w czasie bitwy pod Dobrą, opisaną w mojej powieści „Trzy- stu pod Dobrą”, p. Krzysztof Dunin-Wasowicz przypomina między innymi o rzekomych 17 błędach historycznych, jakie popełniłem pisząc ten utwór. Trudno z braku miejsca polemizować ze wszystkimi nieścisłymi zarzutami. Żeby jednak zademonstrować, jaki ciężar gatunkowy mają wytknięte mi błędy, przytoczam jeszcze jeden z nich: P. Wasowicz pisze: (Rudzi) „Zastrzelił się 5 marca 1863 r., a nie w początkach lutego”. Konia z rzędem temu, kto potrafi wytłumaczyć, czy warto było podkreślać ten „błąd” w utworze beletrystycznym, w którym autor świadomie (dla celów kompozycyjnych) przesunął datę śmierci jednej z drugorzędnych postaci. Pan Wasowicz określa moją wątpliwość co do celowości dzisiejszej rehabilitacji Dworzaczka jako śmiesznej. Proszę osądzić, który z dwóch omawianych zarzutów jest bardziej śmieszny.

Z poważaniem
(—) WŁ. RYMKIEWICZ

Komunikat

TPL i WYDZ. KULTURY
PREZ. WRN

Doceniając rolę recenzji w dziedzinie upowszechniania kultury teatralnej — Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi postanowiły, w związku ze Światowym Dniem Teatru u-fundować cztery nagrody a 2.500 (dwa tysiące pięćset) złotych każda dla recenzentów, piszących o łódzkich spektaklach dramatycznych i muzycznych w okresie od miesiąca marca 1965 roku do końca lutego 1966 r.

1. nagroda za najlepszą recenzję ogłoszoną w prasie łódzkiej;
2. nagroda za najlepszą recenzję ogłoszoną przed mikrofonem Polskiego Radia i Telewizji;
3. nagroda za najlepszą recenzję ogłoszoną w prasie, co najmniej połączoną;
4. nagroda za najlepszą recenzję ogłoszoną w prasie literackiej kraju.

Zobowiązano teatry łódzkie do gromadzenia wy-cinków prasowych z omawianymi wyżej recenzjami i przedstawianiu ich Towarzystwu Przyjaciół Łodzi do dnia 10 maja 1966 roku. Radio i Telewizja przedłożą w tym też terminie odpisy maszynopisów recenzji nadanych w programach radiowych i telewizyjnych.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi dla oceny przedstawionych recenzji powołują jury do dnia 5 marca 1966 roku.

KRONIKA



WSZYSTKO O DZIECIACH

Wybitny krytyk francuski Saint-Beuve (1804—1869), zastanawiając się nad możliwościami literatury, wyzywał temat dziecka, doszedł do wniosku, że przed pisarzem stoją trzy drogi: pisać o dziełach dla dorosłych, pisać o dziełach dla dzieci i pokazywać świat, widziany oczyma dziecka. Gdyby Saint-Beuve dożył naszych czasów i mógł oglądać telewizję, przekonałby się, że jest jeszcze jedna możliwość, mianowicie tworzyć rzeczy o dziełach dla dzieci i dorosłych jednocześnie. Przykładem może tu być audycja na do-branoc z Jackiem i Agatką, pisaną przez Wandę Chotomską a wygłaszana przez Zofię Radborską. Przecież tej audycji wysłuchują z równym zapałem i z takim samym zainteresowaniem dzieci i dorośli. W moim domu, kiedy Jack i Agatka pojawiają się na telewizyjnym ekranie, zwołują się wszyscy członkowie rodziny i zasiadamy pospolicie, by cieszyć się grą słów i dowcipem tej nadzwyczaj udanej audycji. Ach, ten Jack! Czy pamiętacie państwo, gdy pewnego razu szukał on uparcie w doniczkach na balkonie guzika? Na pytanie Agatki, dlaczego to robi, Jack odparł: „Bo Piotrowski powiedział, że guzik z petelką nam wyrosło”. Wiele szukał biedaczek guzika z petelką i nie mógł ich znaleźć. Jest to humor, który jednako bawi dzieci i dorosłych i który wcale się jeszcze nie wyczerpał. Trzeba powiedzieć więcej. Wiele młodych małżeństw chętnie swoje dzieci imionami Jacka i Agatki. Tak, tak, szanowni państwo, nie-wiarogodne a przecież prawdziwe. Oto, do jakiego stopnia sztuka wpływa na życie.

A w ogóle audycje telewizyjne dla dzieci należą bez przesady do najbardziej udanych i wytrzymują konkurencję z audycjami tego rodzaju w innych krajach. Mało, są lepsze od wielu europejskich programów telewizyjnych dla dzieci. A weźmy dla przykładu, telekonkursy dziecięcy sprzed tygodnia pt. „Gospośia do wszystkiego”. Była to impreza, której nie sposób zapomnieć. Wy-stępujący w niej chłopcy i dziewczęta wykazyli tyle przejęcia, tyle poczucia humoru, zaradności i wdzięku, że można było nie tylko cieszyć się, ale i wzruszyć do łez. I to jest właśnie najbardziej dla tych audycji charakterystyczne: wzruszenie. Dziecko na ekranie telewizyjnym tak jak na ekranie filmowym samym swoim pojawieniem się działa znie-walająco. A co dopiero, gdy program jest dobrze pomyślany i dobrze zrealizowany! Jestem zaprzysięgłym entuzjastą programów telewizyjnych z dziećmi dla dzieci i dorosłych. Na szczególne wyróżnienie, poza Jackiem i Agatką, należy cykl audycji „Ula z I-b”. Jeśli państwo mi nie wierzy-cie, albo jeśli nie mieliście do tej pory okazji jej oglądać — polecam gorąco. Każdej niedzieli około godziny szesnastej otwieracie ołtenko telewizyjne. Ujrzyście wtedy starego dziadka (aktor znakomity!) i

kukiełkę Ule. I znów trzeba wypieścić pochwałę dla autora tekstów J. Wilkowskiego. Oto teksty jego są po prostu świetne. Sprzymierzyło się pod pierem J. Wilkowskiego z humorem wysokiej klasy. Jest wiele audycji, przeznaczonych dla widzów starszych, które straszą piekielną nudą. „Ula z I-b” to audycja, która ja, z przeproszeniem stary byk, oglądam zawsze z zainteresowa-niem i podziwem dla jej auto-rów i wykonawców. Aktorka, która używa głosu laleczce (niestety, wyleciała mi z pamięci jej nazwisko), posiada tyle naturalności, tyle dziecięcej przebiegłości, że wdrąga się na trwałe w naszą pamięć. Myślę, że telewizja powinna nam kiedyś pokazać te aktorki, byśmy mogli zobaczyć, kto to zacz, co takiej sztuki dokonuje.

Albo teatr „Wiołinek”. Swoboda, z jaką w audycji tej występują dzieci, z jaką mówią i śpiewają, każdemu zastanowi się nad artystycznymi, psycho-logicznymi i wychowawczymi konsekwencjami programu. Oto cecha główna, wyróżniająca wszystkie te programy, jest ich świeżość. Nie ma tutaj tego, co tak szybko wkrada się do audycji, tworzonych przez dorosłych dla dorosłych: rutyna i siostnienie. Rzadko która audycja cykliczna dla dorosłych utrzymuje się na jednako-owym poziomie. Zazwyczaj po kilku numerach słabnie pomysłowość, wyczerpuje się in-wencja zarówno autorów, jak i wykonawców, i przedziś lub później amiera ona śmiercią naturalną.

Audycje dziecięce ocala świeżość i naturalność. Działają tuż to samo, co tak nas znie-wala przy oglądaniu ry-sunków dziecięcych: inne w-dzenie świata. Dziecko widzi inaczej i dopóki widzi inaczej, fascynuje nas i czaruje. Z chwilą, gdy zaczyna ono naśladować świat doro-słych — przyska czar i urok. Wiedział o tym Kornel Czu-kowski, autor książki pt. „Od dwóch do pięciu”, w której zebrał powiedzenia dziecięce właśnie z tych lat. Jest to roz-koszna lektura. Książka ta przypomina mi się wciąż, gdy oglądam audycje dziecięce w telewizji. Może przesadzę w tym co powiem, ale wydaje mi się, że najsilniejszą stroną naszej telewizji są właśnie pro-gramy dziecięce. Tyle że mało kto z ludzi piszących o tele-wizji zwraca na nie uwagę. A szkoda. Przecież nawet w jed-nym z programów „Poznajmy się”, który oglądaliśmy nie-dawno, najciekawsze były wy-wiady z dziećmi na temat ich upodobań. Od razu powiada-czymś świeżym, czymś innym — zabawnym i wzruszającym. Więc, panie i panowie, zwróć-cie uwagę na dzieci. W tele-wizji i w życiu. I poświęćcie im trochę uwagi. W swoim włas-nym interesie.

JACEK WIERZBIŃSKI



Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W teatrze TV oglądaliśmy jakże trudne dla odbiorcy przez tw. masowego widza, ale zarazem jakże piękne widowisko z gatunku „czystego teatru” Federico Garcil Lora „Miłość Don Perlimplina do Belisy w ogrodzie”. Uroczy wieloznaczny tekst poetycki, bogactwo odmian uczuciowych, zmiana mask na oczach widzów, wszystko to — zgodnie z intencją poety — zmieścił w doskonałym i świetnie reżyserowanym A. Bardini. Role tytułowe grali B. Pawlik i B. Wrzesińska; w pozostałych rolach występowali B. Barański, W. Łuczycyca, M. Gajda.

WTOREK

W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkie-

ŚRODA

wizja została otwarta wystawą malarstwa, grafik i rzeźby sopockiego okręgu ZPAP. Z prac plastyków starszego pokolenia zwróciły moją uwagę „Przystań w Gdańsku” i „Port w Gdyni” Kazimie-rza Śramkiewicza repre-zentujące konsekwentnie malarstwo przedstawiające w połączeniu z nieza-przecznym autentyzmem malarstwa współczesnego, oraz akwarela Antoniego Suchanka „Przy maszy- nie” odznaczająca się znaczną biegłością malar-ską. Bardzo interesujące kolorystycznie w technice mieszanej są obrazy Jani-ny Rybickiej (szczególnie „Gdańsk”) i Bohdana Bo-rowskiego kompozycje w stylu malarstwa abstrak-cyjnego. Zwracały też uwagę płótna Magdaleny Heydy-Usarewicz („Kom-

pozycja”) i bardzo inte-rująca pod względem technicznym kompozycja Władysława Jackiewicza „Ziemia III”. Dzieła opra- raczne sopockich rzeźbiar-zy mówią o wpływach mistrza Horna-Popławskie-go.

PIĄTEK

Praca i życie załóg fabrycznych, poszukiwanie lepszych form organizacyjnych, postęp techniczny, wydajność pracy, stosunki między ludźmi w zakładach, zagadnienia bezpieczeństwa i higieny pracy, problemy eksportu — oto tematy prac publicystycznych, które można nadsyłać na konkurs ogłoszony przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzano-ego i które winny być opublikowane w prasie, radio, telewizji lub filmie w okresie między 1 stycz- nia a 1 maja 1966 r.

SOBOTA

„Pagart” ogłosił regula- min konkursu orkiestr ta- necznych, którego trzy eta-

py eliminacji (wstępna, wojewódzka i finałowa) trwać będą do końca bieżącego roku. Najlepsze wykonanie z konkursu orkiestr zostaną umieszczo- ne na liście zespołów; przewidziano do wyjaz- du za granicę.

NIEDZIELA

Miejskie Zarządy Budyn- ków Mieszkaniowych upra- wiają przedsięwzięcie polityczne. Konia z rzędem temu, kto nie wyminął politykę zro- zumie! Idzie o sprawę dźwigów. Sprawa pozora- nie blaha i perifereryjna, ale odbija się w niej jak w kropel wody fałszywe rozumienie przez naszą biurokrację praw obywatela w ustroju socjalistycz- nym. Z takiego rozumienia wynikała nie tylko dla obywateli poszczególne, ale i dla całości społe- czeństwa, szkody, które nie mogą być nie docenione, ani tym bardziej pozostać nie zauważone! Ale przejdź- my ad rem! Zdarzało się, że skoro winda w jakiejś nieruchomości, pozostaw- jąc w administracji ADM, przestaje działać na okres paru tygodni, to lo- katorzy powinni być zwol- nieni od obowiązku ui- szczenia opłat za używanie i korzystanie z dźwigu. Za-

darzającemu Warszawy. Na- groda przyznawana będzie za cykl większy niedruko- wanych (maksimum pięć). Termin ostateczny nadsy- lania utworów upływa 20 kwietnia 1965 r.

WYSTAWA

Krajoznictwo, Towarzystwo Fotograficzne, Stary Komitet Wystawowy (Krajoznictwo, Stolarska 9) ogłosił kon- kurs pt. „Niezapomniane dni wielkiego jubileuszu krajoznictwa”. Ci, którym udało się „fotograficznie” ucie- sknić w poszczególne imprezy w okresie trwa- nia Roku Jubileuszowego mogą nadesłać nieograniczo- ną ilość prac pod wska- zany wyżej adresem, gdzie także można uzyskać szczegółowe informacje.

Biurowo Festiwalu Kul- turalnego Studentów (Wars- zawa, Krakowskie Przed- mieście 24) ogłosiło Ogólnopolski Konkurs pod nazwą „Niko warszawski” na utwory związane z boha- terską przeszłością i dniami

danie bowiem opłat za usługi, których nam w różnych okresach czasu nie świadczy, jest rzeczą nieuczciwą i wręcz niemoralną. To zdawałoby się jasne i proste, i łatwe do zrozumienia nawet dla dziecka. Ale nie — dla naszych szanownych ADM! Aby więc sprostać od- miennej, nielogicznej sy- tuacji nasze ADM muszą stawić sprawę na „gło- wie! Powiadała ona zatem tak: Ty, obywatelu-lokatorze, placisz nie za korzy- stanie z dźwigu, tylko (ch- chacie, państwo, słuchajcie!) za jego utrzymanie! Rozumując tak konse- kwentnie do końca i wle- cając tę „arcyszumną” za- sadę w życie, ADM stoją na stanowisku, że loka- torzy muszą płacić za utrzymanie dźwigu nawet wówczas, gdy z różnych przyczyn lub winy instalatora, winda bywa całymi tygodniami nieczynna (a takie fakty miały i są, w pewności, niestety, będą miały miejsce w znanych mi nieruchomościach przy ul. Narutowicza 8/10 i Mickiewicza 8). Proszę pań- stwa, czy to wręcz nie oburza? Bo gdybyście państwo przestali płacić koszty utrzymania windy, z której nie korzystacie,

to ADM przysłałaby zaraz — na podstawie jakichś tam, jej tylko znanych przepisów — komornika! I procesujecie się państwo dopiero z ADM, tracicie nerwy, czas i pieniądze na chodzenie po sądach. Nikomu się tego nie chce, więc już woli machnąć ręką i pozwolić, żeby go doili. Tym bardziej, że pro- cesy są dla niego wygrane, bo — jakies tam przepisy! Ach, te przepisy! I ta bu- rokracja, to źródło współ- czesnych chorób aliena- cyjnych, to może dopro- wadzić do szaleństwa. Ale tak postawiona (na gło- wie!) sprawa budzi wśród obywateli rozgorzcenie, resentymenty i nie zawa- sze pochlebne nie tylko dla ADM komentarze. Czy więc Miejski Zarząd Bu- dynków Mieszkaniowych nie powinien przeanalizować swego niesłusznego i krzywdzącego obywateli stanowiska? Czy nawet w imię wyższej, socjalistycz- nej sprawiedliwości nie po- winen wystąpić o rewizję niesłusznego przepisu, jeżeli „takowe” rzeczywi- ście istnieje i obowiązuje? Bo może to wszystko mit?

ARYSTARCH



W. Somerset Maugham był w swym długim życiu lekarzem, szpiegiem, łowcą przygód — i wszystko po to, by doświadczenia te wykorzystać w pracownym, pisarskim żywocie. Przeszło 90-letni pisarz ostatnio chorował ciężko; mamy nadzieję, że naszych Czytelników zainteresuje drukowane poniżej opowiadanie, jedno z kilkuset zebranych w parę kolejnych tomów.

W. SOMMERSET MAUGHAM

KONIEC UCIECZKI

Uściskałem rękę szyprowi i przechodząc przez zatłoczony pasażerami pokład ruszyłem w stronę trupu. Moje bagaże zniesiono już do łodzi pełnej gęstych krajozłotów. Byliśmy około 3 mil od brzegu, ale bryza szybko niosła nas w stronę coraz wyraźniejszych kęp drzew kokosowych, wśród których widniał brunatny dach dużego budynku. Jakiś Chińczyk mówiący po angielsku, wskazując na białe bungalowy powiedział, że tam mieszka miejscowy Rezydent. Właśnie do niego miałem list polecający.

Mimo to po wylądowaniu czułem się zagubiony. Bezsradnie liczyłem walizki ułożone na czysto wymytych przez przybływ piasku. Znalazłem się oto w zapadłym kacie archipelagu, nieco na północ od brzegów Borneo, i było mi nieswojo na myśl, że muszę zwrócić się do obcego człowieka i powiadomić go, że mam zamiar spać pod jego dachem, jeśli jego jedzenie i pić jego whisky tak długo, póki na tym odludziu nie zjawi się następny statek. Mógłbym jednak zaoszczędzić sobie tych skrępowań bo na progu bungalowu czekał mnie krepy, jowialny mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu. „Mili Boże, człowieku, czy pan ma pojęcie jak się cieszę, że pana widzę” — rozwiął on ostatnie moje skrępowania. — „Czy pan wie czym w tej głuszy jest gość z wielkiego świata? Cieszę się, że pan przyjechał i chciałbym, żeby się pan tu

zatrzymał choćby przez rok”. Na werandzie aż huczało od jego głębokiego basu, zapewniał mnie że i tak nie ma co robić i na moją cześć odkłada wszystkie bieżące prace do jutra. Posadził mnie w fotelu, napoił drinkiem, zarządził kąpiel, która mnie bardzo odświeżyła. Potem zjedliśmy doskonały obiad, a gdy górę zaczęło brnąć zmęczenie i gospodarz dostrzegł, że jestem senny, gromko zapowiedział, że musi sprawdzić czy w pokoju gościnnym wszystko jest w porządku.

Był to duży pokój z werandą, skąpo umeblowany, ale za to z ogromnym łóżkiem zawieszonym moskitierą.

— Łóżko jest raczej twarde, czy to panu nie będzie przeszkadzało? — zapytał się gospodarz.

— Ani trochę.

Gospodarz patrzył na łóżko ze szczególnym wyrazem twarzy.

— Spał tu ostatnio pewien Holender. Chciałby pan jeszcze posłuchać zabawnej historyjki?

Bardzo już chciałem się położyć, ale to był przecież mój gospodarz. A przy tym sam lubię opowiadać i wiem jak trudno się powstrzymać, jeśli człowiek najdzie wspomnienie jakiejś „zabawnej” historyjki.

— Ow Holender przyjechał tu ubiegłej wiosny — zaczął opowiadać gospodarz. — Wyglądał na szczerzego, ale o nic go nie wypytywałem. Dał mi ten pokój gościnny i przyprowadził me tutaj osobiste. W pewnej chwili, kiedyśmy rozmawiali, wszedł jeden z mych urzędników w jakiejś tam sprawie. Może otworzył zbyt gwałtownie drzwi, chociaż ja tego nie zauważyłem, w każdym razie mój Holender coś krzyknął, uskokzył w kąt pokoju i w garści już trzymał rewolwer. — Co pan robi? — powiedziałem do niego. — Ale on ujrawszy urzędnika zachwiał się

na nogach, zatoczył w ten fotel i padł weń, całkiem bezwładnie. — Bardzo pana przepraszam — powiedział do mnie — to nerwy! Już zupełnie nie panuję nad nerwami! Nie podobało mi się to, facet nie wyglądał ani na alkoholika, ani na takiego, którego tropi policja. Lepiej niech pan od razu się kładzie — powiedziałem, jakże nie innego nie przychodziło mi do głowy — sen panu dobrze zrobi. W parę godzin później znów zająłem do jego pokoju, paliło się światło, gość wykapotał się, ogolił, miał na sobie czystą białą koszulę i świeżo, odziewał się, siedział w fotelu na środku pokoju. — Dlaczego pan nie śpi jeszcze o tej porze? — spytałem. — Jeśli łóżko jest niewygodne, to niech się pan położy na leżance. — Wolę tak siedzieć —

i one rozwiązały mu język. Mówił dobrze po angielsku i umiał opowiadać. I tak oto poznałem jego historię: „Przybywałem tu z Sumatry, na której spędziłem wiele lat. Tam też zdarzyło się, że skrzywdziłem jakiegoś Chińczyka i ów miejscowy Chińczyk — a wie pan jacy oni są — przysiągł, że go zabije. Mój gość początkowo zlekceważył to, ale ów mściwy tubylcy dwa czy trzy razy zastawiał na niego zasadzkę, i choć nie się nie stało, Holender uznał, że trzeba na jakiś czas z Sumatry zniknąć. Wybrał się więc do Batavii, aby trochę pohulać, ale ledwie tam się zjawił, już w jakimś zaułku dostrzegł swego Chińczyka. U licha, to go już przeraziło, sprawa wyglądała poważnie, wybrał się więc do Surabai. Drugiego dnia pobytu w tym wesołym mieście, w tłumie

a on nie ruszyłby nawet ręką w swej obronie. I wtedy też dostrzegł w oczach owego Chińczyka taką nienawiść, że był już pewny iż nigdy nie zrezygnuje on ze swej zemsty. Nie powiadomił policji bo widocznie miał ku temu jakieś powody, ale w stanie zupełnego psychicznego rozbitcia zwrócił się do szyprowi, który otywał między Singapur a Kuching; poznał go w hotelu, przy whisky. Ten obiecał go zabrać. Holender był ogarnięty taką paniką, że zostawił w hotelu wszystkie swoje bagaże i na statek wbiegł dosłownie w ostatniej chwili. No, ale w Kuching poczuł się uratowany. Dokonał niezbędnych zakupów, oddychał swobodnie, opuścił go lek. Trwało to ledwie parę dni, bo oto kiedyś, będąc w klubie spojrzał przypadkiem w okno i dostrzegł swego prześladowcę siedzącego spokojnie na krawężniku chodnika. Oczy ich spotkały się. Holender nie wytrzymał napięcia i zemsta. Gdy przyszedł do siebie postanowił natychmiast wyjechać, ale tym razem ucieczkę swa organizował precyzyjnie. Sprawdził więc czy na pokładzie statku, którym zamierza odpłynąć nie ma owego przekleśnego tubylcy, a przekonawszy się, że nie ma go, przysiadł na krawężniku wysp. Zupewnił już nie panował nad nerwami, każdy szmer sprawiał, że chwylał go śmiertelny strach, rewolweru nie puszczał z garści. Zamykał też wszystkie drzwi na siedem spustów, choć zapewniałem go, że na naszej wyspie nie złego nie może się zdarzyć. Owej nocy kie-

dymy wypili wiele kolejek, jakby się uspokoił, moje zapewnienia, że nie mu nie grozi, wyraźnie dodały mu otuchy. Wreszcie, tuż przed świtem zdecydował się położyć. Zyciem mu więc dobrej nocy i zawiązywał też poszedłem spać.

Następnego rana mój boy przyniósł mi śniadanie i spytał czy ma budzić Holendra. Pukał już barokrotnie, ale gość miał wyjątkowo twardy sen. Dziwnie — pomyślałem — i poczułem się nieswojo, zacząłem dobijać się do drzwi pokoju gościnnego, podnosząc taki hałas, że mógłbym zbudzić wszystkich zmarłych, ale mój Holender spał i nie dawał znaku życia. Teraz tknęło mnie złe przeczucie, więc wyważyłem drzwi. Moskitiera była starannie zaciągnięta wokół łóżka, odsunąłem ją i wtedy zobaczyłem coś, czego nigdy nie zapomnę. Mój gość leżał na wznak, z szeroko otwartymi oczami, martwy jak glaz. Na gardle jego ośledła się ostrza cięć, tubylczy kłosa, ale przysięgam panu — a nie jestem kłamcą — że nawet skóra na grdyce nie była drażniona. Oto i cała historia. Zabawne, co?

— To zależy od tego, jakie kto ma poczucie humoru — odpowiedziałem.

Mój gospodarz rzucił mi ukradkowe spojrzenie.

— Ale to chyba nie przeszkodzi panu spać w tym łóżku, co?

— Skądże znowu — odpowiedziałem. — Inna sprawa, że wolałbym, żeby mi pan ten historyjke opowiedział nie dziś, przed snem — a jutro rano.



odpowiedział mi. — Dziwak, pomyślałem, ale dziwaków widujemy tu przecież nieraz. Wszystko złożyłem na karb upału. Teraz mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Miał około czterdziestki, ciężko zbudowany z kwadratową głową, wyglądał na brutalną, i znów uderzył mnie wyraz jego twarzy: niewielkie, niebieskie oczy sprawiały wrażenie, że facet lada chwila zacznie płakać. Co chwila rzucał dookoła nerwowe spojrzenia, miły Boże, był rzeczywiście kłębkiem nerwów.

Wypiliśmy parę kieliszków

na deptaku ujrzał nasz Holender swego Chińczyka i wtedy chwycił go panika. Poszedł więc wprost do hotelu, spał kawałek rzeczy i najbliższym statkiem popłynął do Singapuru. Zatrzymał się oczywiście w najlepszym hotelu. W parę dni później pijąc na tarasie swego martini dostrzegł, że przed wejściem, patrząc w jego stronę, spaceruje spokojnie jego Chińczyk. Holender powiedział mi, że poczuł się na ten widok sparaliżowany: ten mściwy tubylcy mógłby poderżnąć mu wówczas kłębkiem gardła,

SPEKTAKLE tygodnia

WŁÓKNIARZ		FILM	
ZACHĘTA	— „Gejsza” — 35 seansów	12.734 widzów	
	— „Skarb w Srebrnym Jeziorze” — 35 seansów	9.657 „	
NOWY		TEATR	
	— „Pan Geldhab” — 4 spektakle	2.400 — 75%	
	— „Drewniana misa” — 2 spektakle	1.000 — 60%	
	— „Wiecek i Wacek” — 1 spektakl	600 — 80%	
	— „Marie Octobre” — 2 spektakle	1.000 — 60%	
MAŁA SALA			
	— „Indyk” — 2 spektakle	400 — 100%	
	— „Hiroshima” — 1 spektakl	200 — 100%	
	— „Garec piasku” — 2 spektakle	180 — 90%	
	— „Radosne dni” — 1 spektakl	120 — 60%	
POWSZECHNY			
	— „Robin Hood” — 2 spektakle	1.320 — 100%	
	— „Ktoś nowy” — 2 spektakle	1.300 — 99%	
JARACZA			
	— „Ostatnia stacja” — 2 spektakle	1.400 — 100%	
	— „Kto uratuje wieśniaka” — 3 spektakle	2.000 — 100%	
	— „Koncert” — 3 spektakle	2.000 — 100%	
	— „W pustyni i w puszczy” — 4 spektakle	2.700 — 100%	
OPERA			
	— „Legenda Bałtyku” — 2 spektakle	1.420 — 100%	
	— „Rycerskość wieśniacza” — 1 spektakl	650 — 100%	
OPERETKA			
	— „Czarujący Giulio” — 6 spektakli	4.825 — 720%	
LJS			
	— „Przygody dzielnego wojaka Szwajk” — 4 spektakle	1.471 — 83%	
	— 2 koncerty z solistką Wandą Wilkomirską		
	dyrygent St. Marczyk.	1.200 słuchaczy	

Lewym okiem



MNIEJ KŁAJSTRU I NOZYCEK

Bardzo dawno temu zdarzyło się, że — ponieważ mogłem pożytyć od kuzyna górą część smokinga, ponieważ pasowały do tej górnej części spodnie, pożyczone od drugiego kuzyna, ponieważ — poza tym potrzebne mi były pieniądze — zaangażowałem się na parę wieczorów jako statysta do filmu. Brałem udział w masowej scenie balowej i z ładną szwaczką z Tamki tańczyłem walc w Dolinie Szwajcarskiej. Oprócz tej szwaczki zapamiętałem wtedy na długo, bo aż po dziś dzień, fakt, że scenę podchodzenia do stołka i zajmowania przy nim miejsca nałagano na naszym tle z parą głównych bohaterów ze dwadzieścia razy. A to byli bardzo znani aktorzy.

I wciąż jeszcze myślę, że w heretycznym wniosku, wysnutym wówczas przez chłopca, jakim byłem, było jednak trochę racji. Mianowicie, że nawet folk można nauczyć przez cierpliwe powtarzanie gry w siatkówkę, można też więc każdego człowieka doprowadzić wreszcie na gest, w którym wyjdzie się artystą. A już rzecz o technikach i maszynach będzie, żeby tylko ten jeden gest mecha-

nicznie zatrzymać, mechanicznie utrwalić i mechanicznie przekazać tysiącom innych ludzi. Tysiące ludzi podziwiają wówczas artystę, nie wiedząc, że złożony jest z tysięcy sklejonych kunsztownie udanych gestów, po wycięciu setek tysięcy nieudanych.

Mówiło się kiedyś o śpiewakach, aktorach, muzykach, że mają swoje złe i dobre dni, że Messalka była wrocza w sobotę, a w niedzielę lekceważyła widowiska, że Kochalskiemu nie wyszło pocięto, a Kiepurze obsunęło się górne C. Konceserzy i miłośnicy chodzili wiele razy na te same koncerty i dramaty, bo spotykali tam żywych ludzi, za każdym występem tworzących swe dzieło, swe kreacje na nowo, inaczej, od początku, w tym samym trudzie, napięciu, natchnieniu i jak kto jeszcze chce nazwać pracę artysty.

Dziś środki masowego przekazu skłaniały nas na same najlepsze wykonania. Najlepsze i coraz bardziej nieprawdopodobne. Śpiewale, nagrywający płytę, śpiewa w studio dziesiątki razy, kawalkami, czeka na moment najlepszej dyspozycji głosowej, ustawiają go raz w lewo, raz w prawo, potem z kilku najlepszych fragmentów spreparują całość i to będzie doskonałe wykonanie, nagrane na płytę. Choćbyście ją puszczać setki razy, będzie zawsze taka sama, tak samo doskonała.

Śpiewaczka, przyjeżdżająca z zagranicy, przynosi ze sobą swe najlepsze taśmy. Na estradzie, przed publicznością, musi śpiewać. Ale później w studio telewizyjnym porusza tylko ustami, a śpiew leci z taśmy. Nie wierzę, że ta śpiewaczka jest w takiej świetnej formie. To jej forma sprzed paru miesięcy, podprawiona kunsztem adaptato-

row, nagrywaczy, mistrzów techniki, nie śpiewa.

Znawcy mówią czasem o piórnach jakiegoś malarza, na przykład Leonarda, wiecie którego, że: „ten uśmiech jest niezrównany”, „ten gest głowy Judasza fantastyczny”, „ta ręka — co to za ręka”. Ale co by było, gdyby skłócić uśmiech Mony Lizy z gestem głowy Judasza i z ręką damy z laszczek? Idealny obraz Leonarda? Bo złożony z najbardziej udanych fragmentów?

Ten krotkochny przykład to oczywiście grubza przesada. O trzy nieba lepiej słuchać Bacha z płyt, niż nie słuchać wcale, zwłaszcza, że myśli się wtedy raczej o Bachu niż o wykonawcach jego muzyki, podciągniętych technikach na wyższym bezbłędnej sztuki.

Lepiej też słuchać radia niż grać pod latarnią w zechycka, chociaż nigdy nie wiadomo czy to co się słyszy, to jest to samo, co powiedział naprawdę i jak powiedział artysta.

Mimo to pozwólcie, że westchnę: z jakże inną satysfakcją słucha się — tak, przez to samo radio — konkursowej gry młodych wirtuozów — szopenistów, kiedy wie się i czuje, że żadne nożyce i kłajster tu nie interweniowały, że ten chłopak, ta dziewczyna gra tam właśnie tak — o, tu się pomyliła, — o, tu jest wspominały, że to jest ich maksymalny artystyczny wysiłek, że są tu z nami, bez pomocy panów i pań, i że możemy tak ze sobą porozmawiać językiem Szopena.

Nie lekceważmy tego rodzaju satysfakcji. Dajmy ją ludziom częściej. Czyli — chciałem powiedzieć — może czasem trochę mniej inżynierii techniki i sztuczności — w samą szturkę? —

CWIEK